

# 40

## ROCZNICA STANU WOJENNEGO NA ŚLĄSKU OPOLSKIM



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ



Instytut Śląski



FOT. WIKIPEDIA



**BOLESŁAW BEZEG,**  
REDAKTOR  
NACZELNY  
NTO

Co jakiś czas ciągle zdarza mi się trafić na rozmówców, którzy wierzą w narrację lansowaną przez reżim generała Jaruzelskiego, że wprowadzenie stanu wojennego było mniejszym złem. Przypominam sobie materiał wyemitowany w początkach 1982 roku w „Dzienniku Telewizyjnym”, w którym pokazywano bo-

jowe sprzęty odnalezione rzekomo przez jedną z krążących po kraju wojskowych grup operacyjnych w siedzibie jednej z Komisji Zakładowych „Solidarności”. Były tam zastrzone pręty zbrojeniowe, drewniane pałki nabite ostrymi gwoździami, samopały z rurek centralnego ogrzewania, maczety, kastety, proce na kulki łożyskowe, a nawet tzw. obrzyny z drugowojennych wojskowych karabinów, a na deser kopalniany dynamit. Jak twierdził prowadzący audycję tzw. ekstrema „Solidarności” miała zamiar użyć tych narzędzi do obalenia siłą ustroju, na szczęście nie zdążyła.

Miałem wtedy niespełna 13 lat, ale nawet jak na moją ówczesną naiwność

ta wiadomość była zbyt grubymi nićmi szyta. Możliwe jednak, że będąc dzieckiem działacza „Solidarności” miałem podwyższony poziom nieufności do władz, bo okazało się, że całkiem spora grupa moich Rodaków w takie głupoty wierzyła. A jeszcze smutniejsze jest to, że ciągle jeszcze w naszym kraju zdarzają się osoby wierzące ówczesnej propagandzie. Pomimo, że od tamtej pory ukazało się tysiące publikacji i audycji ujawniających prawdę o rzekomym mniejszym złe i o tym, że rzekomo planowana sowiecka inwazja na Polskę nie miała szansy realizacji, a prosił o nią osobiście właśnie generał Jaruzelski.

Widać z tego jak niezwykle skuteczną trucizną jest kłamstwo i że detoksykacja w wypadku propagandowego zatrucia trwa długimi latami, a prowadzi się ją bez gwarancji powodzenia.

Jednym ze sposobów odtruwania opinii społecznej jest nasycanie przestrzeni publicznej prawdą o spomych zagadnieniach. Stąd nasza inicjatywa – oddajemy dziś naszym Czytelnikom 16-stronicową wkładkę o tym jak stan wojenny wyglądał na Ziemi Opolskiej.

Im więcej czasu mija, im więcej ujawnionych prawd, tym mniej wątpliwości, że stan wojenny to nie było „mniejsze zło”, ale po prostu zło.

# TAK PRZEBIEGAŁ STAN WOJENNY W WOJEWÓDZTWIE OPOLSKIM

DR ZBIGNIEW BERESZYŃSKI

**W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej przystąpili do realizacji długo przygotowywanej operacji „Jodła”, obejmującej internowanie wytypowanych imiennie działaczy związkowych i opozycyjnych.**

W pierwszym dniu stanu wojennego zostało internowanych 69 spośród 84 osób, które zgodnie z wcześniejszymi planami miały być izolowane przez SB w województwie opolskim. Przed końcem 1981 r. internowano ogółem 93 osoby. W całym okresie stanu wojennego, do grudnia 1982 r., internowano z przyczyn politycznych ogółem 157 osób zamieszkałych bądź zatrudnionych na terenie województwa opolskiego, a będących obiektem zainteresowania miejscowej SB.

## Internowani

Internowani mieszkańcy województwa opolskiego trafiali początkowo do aresztu milicyjnego w podziemiach gmachu Komendy Wojewódzkiej. Już 13 grudnia 1981 r. w godzinach popołudniowych przewieziono internowanych do ośrodka odosobnienia utworzonego w Areszcie Śledczym przy ul. Sądowej w Opolu. Ośrodek ten miał charakter tymczasowy i funkcjonował tylko do końca pierwszej dekady stycznia 1982 r. Przebywający w nim nadal internowani zostali przewiezieni do utworzonych z czasem stałych ośrodków odosobnienia w innych miejscowościach. Większość internowanych (sami mężczyźni) trafiła w dniach 8-9 stycznia 1982 r. do zakładu karnego w Nysie. Internowani w wieku powyżej 55 lat zostali przewiezieni do specjalnego ośrodka odosobnienia w Darłównie. Internowane kobiety przewieziono do ośrodka odosobnienia w Gołdapi.

W pierwszych tygodniach stanu wojennego powstały również ośrodki odosobnienia w Grodkowie i Strzelcach Opolskich. Były one przeznaczone głównie dla internowanych z innych województw, ale trafiła tam także część działaczy z województwa opolskiego. Kilka osób, wywieziono aż do Kamiennej Góry na Dolnym Śląsku, a następnie do Głogowa. W tym



Byli więźniowie polityczni ze środowiska wydającego „Sygnały Wojenne” z wizytą dziękczynną u ks. prałata Kazimierza Bochenka, 1983.

ostatnim ośrodku przebywali m.in. Janusz Sanocki, Leon Foltyn, Franciszek Szelwicki i Zbigniew Zając, działacze „Solidarności” z rejonu Nysy i Otmuchowa, a także Roman Kirstein z Opola. Franciszek Winiarski, działacz „Solidarności” rzemieślniczej z rejonu Nysy i Prudnika, był internowany aż w Strzebielinku w ówczesnym województwie gdańskim.

Z upływem czasu internowani byli stopniowo zwalniani, ale jednocześnie zapadały nowe decyzje o internowaniu w stosunku do osób podejrzewanych o kontynuowanie zakazanej działalności związkowej czy opozycyjnej. Osoby, którym można było udowodnić prowadzenie zakazanej działalności, otrzymywały sankcję prokuratorską i trafiały do aresztu razem z pospolicymi przestępcami, natomiast osoby, w stosunku do których SB nie była w stanie zgromadzić odpowiednich materiałów procesowych, powiększały liczbę internowanych.

Ogromna większość internowanych została zwolniona przed końcem lipca 1982 r. W związku z tym uległy likwidacji ośrodki odosobnienia w Nysie i Głogowie. Pozostające tam nadal osoby zostały przewiezione do więzienia w Grodkowie, które stało się zbiorczym ośrodkiem odosobnienia dla całej poł-

dniowo-zachodniej części kraju. 3 sierpnia 1982 r. przewieziono tam również internowanych ze zlikwidowanego ośrodka w Zabrze Zaborzu w ówczesnym województwie katowickim.

Służba Więzienna nie potrafiła zapanować nad sytuacją w przepelnionym więzieniu grodkowskim i szybko doszło tam do dość dramatycznych wydarzeń. Internowani przywiezieni z Głogowa niepostrzeżenie zaczęli demontować zamki z drzwi cel. Wkrótce potem zdemontowano również kratę oddzielającą dwa oddziały mieszkalne. Okolice więzienia zostały obstawione przez milicję, a na teren zakładu karnego sprowadzono oddziały interwencyjne Służby Więziennej. W sąsiedztwie z więzieniem hotelu zakwaterowano, na wszelki wypadek, sporą grupę rezerwistów powołanych do służby w Rezerwowych Oddziałach Milicji Obywatelskiej.

Dla opanowania sytuacji postanowiono przewieźć część internowanych do ośrodka odosobnienia w Uhercach. Przebywał tam przejściowo Jerzy Gneciak, internowany lider regionalnej „Solidarności” rolniczej, przeniesiony później do Grodkowa.

Ostatnia grupa osób internowanych na podstawie dekretu o stanie wojennym wy-

szła na wolność w dniach 9 i 10 grudnia 1982 r. Znajdowali się w niej m.in. Antoni Klusik i Krzysztof Stachowski, pracownicy Zarządu Regionu Śląska Opolskiego NSZZ „Solidarność”, negatywnie zaopiniowani przez funkcjonariusza SB w kwietniu 1982 r., w notatce służbowej sporządzonej po rozmowie z innym internowanym działaczem (niestety zdarzały się również takie sytuacje).

Tymczasem władze komunistyczne zastosowały nową formę pozbawienia wolności z przyczyn politycznych, powołując szereg osób do odbycia służby wojskowej w specjalnie utworzonych ośrodkach, nazywanych potocznie wojskowymi obozami internowania. Jeden z trzynastu ośrodków tego rodzaju, funkcjonujących w okresie od listopada 1982 do lutego 1983 r., został utworzony w jednostce wojskowej w Brzegu.

## Opór społeczny. Opole

Jednym z pierwszych aktów protestów przeciwko stanowi wojennemu było indywidualne wystąpienie Kazimierza Markowskiego, przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ

„Solidarność” przy Opolskich Zakładach Koncentratów Spożywczych w Opolu. W poniedziałek 14 grudnia 1981 r. rozwiesił on w swoim zakładzie pracy kil-

kanaście ulotek z tekstem oświadczenia wyrażającego protest przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. W lutym 1982 r. sąd wojskowy skazał go na cztery lata pozbawienia wolności.

Już w pierwszych tygodniach stanu wojennego doszło do podjęcia konspiracyjnej działalności związkowej pod szyldem regionalnej „Solidarności” Śląska Opolskiego. Powstało kilka zakonspirowanych grup w niektórych zakładach pracy w rejonie Opola. Wydawano i kolportowano pismo „Sygnały Wojenne” oraz organizowano pomoc dla osób internowanych i ich rodzin. W marcu 1982 r. powołano Radę Koordynacyjną w składzie: Stanisław Jałowicki (przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”), Jan Całka, Bronisław Palik i Wojciech Radomski.

Działalność tego środowiska przerwała fala aresztowań, zapoczątkowanych rano 27 kwietnia 1982 r.

Aresztowani i objęci aktem oskarżenia zostali: Jan Całka, Bolesław Dębicki, Kazimierz Duda, Marek Hoffman, Stanisław Jałowicki, Tadeusz Małachowski, Janusz Michniewicz, Wiesław Moliński, Stanisław Oleksy, Bronisław Palik, Zdzisław Praski, Wojciech Radomski, Henryk Rzepecki, Adam Sumiński, Tadeusz Sumiński, Marek Szwed, Marian Wałowski, Eu-

geniusz Wolnicki i Krzysztof Wójcik. Ich proces przed sądem Śląskiego Okręgu Wojskowego toczył się do stycznia 1983 r.

## Młodzi konspiratorzy nie zostają w tyle

W pierwszych tygodniach stanu wojennego podjęła działalność konspiracyjna grupa młodzieży działającej wcześniej w opolskich strukturach Niezależnej Federacji Młodzieży Szkolnej i Związku Młodzieży Demokratycznej. 24 stycznia 1982 r. utworzono związek konspiracyjny pod nazwą „Wolność i Niepodległość”. Grono kierownicze organizacji tworzyli: Maciej Pilch, Tadeusz Lakwa, Andrzej Wianiecki i Andrzej Dzuła, mieszkańcy Opola. Współpracujący z nimi Jerzy Golczuk doprowadził do utworzenia odrębnej grupy krapkowickiej.

Młodzi konspiratorzy z WiN kolportowali ulotki i malowali znaki Polski Walczącej na plakatach z dekretem o stanie wojennym. Wydano także pierwszy (i ostatni) numer pisma pod tytułem „Tygodnik Wojenny”. Biuletynu tego nie zdążyli jednak rozkolportować.

Dalszą działalność WiN uniemożliwiły aresztowania przeprowadzone przez SB w okresie od marca do maja 1982 r. Aresztowani zostali: Andrzej Dzuła, Edward Głowiński, Marek Kotowski, Krzysztof Kozieł, Jacek Kucharski, Tadeusz Lakwa, Małgorzata Mierzwa, Maciej Pilch, Jarosław Szudzychowski, Marek Torchała, Andrzej Wianiecki, Małgorzata Wieczorek, Jacek Wilk i Mirosław Wróbel.

29 marca 1982 r. został aresztowany także Lesław Poecckh - działacz Konfederacji Polski Niepodległej, spełniający rolę łącznikową między WiN a środowiskiem „Sygnałów Wojennych”. Skazany przez sąd wojskowy na dwa lata więzienia, odbywał karę do maja 1983 r.

Tymczasem 16 kwietnia 1982 r. Joachim Bekers i Maciej Wojciechowski z Krapkovic, działając we współpracy z Jerzym Golczukiem z Opola, w reakcji na aresztowanie ich kolegów z WiN, przeprowadzili akcję odwetową, polegającą na wybiciu szyby w opolskiej willi komendanta wojewódzkiego MO, płk. Juliana Urantówki, oraz rozrzuconiu w jego ogrodzie ulotek z hasłem „WiN walczy”. Bekers

i Wojciechowski zostali aresztowani, natomiast szesnastoletni dopiero Golczuk trafił do milicyjnej izby dziecka, stając się w ten sposób najmłodszym więźniem politycznym w województwie opolskim.

#### Ozimek i Zawadzkie

Ważnym ośrodkiem oporu społecznego była także Huta „Małapanew” w Ozimku. Od pierwszych tygodni stanu wojennego pojawiały się tutaj ulotki i napisy o treści opozycyjnej. Zbierano składki związkowe wśród załogi. Na przełomie 1982 i 1983 r. doszło do powstania Tymczasowej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” HM, której liderem został Jerzy Michalczyk. W kwietniu 1983 r. ukazał się pierwszy numer wznowionego w warunkach konspiracyjnych „Serwisu Informacyjnego” zakładowej „Solidarność”.

Niestety wkrótce potem SB aresztowała Jerzego Michalczyka i współpracującego z nim Mikołaja Mirowskiego. Wszczęte przeciwko nim postępowanie karne przeciwko zostało jednak umorzone na mocy amnestii uchwalonej przez Sejm PRL w dniu 21 lipca 1983 r.

Do najmocniejszych ośrodków oporu społecznego

należała również Huta im. Gen. Karola Świerczewskiego w Zawadzkiem (dawnej i obecnie Huta „Andrzej”).

Miejscowi związkowcy podjęli działalność konspiracyjną, polegającą m.in. na wydawaniu od czerwca 1982 r. podziemnego biuletynu „Zwyciężymy”, drukowaniu i rozrzucaniu różnego rodzaju ulotek, kolportażu wydawnictw bezdebitowych oraz malowaniu napisów na terenie huty i w jej otoczeniu. Przywódczą rolę w tych inicjatywach odgrywał, po zwolnieniu go z internowania, Andrzej Kwiatkowski, stojący na czele Tymczasowej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”.

#### Kędzierzyn-Koźle i Zdzeszowice

W styczniu 1982 r. grupa szeregowych członków „Solidarność” z rejonu Kędzierzyna-Koźla rozpoczęła wydawanie pisma „Przed jutrem”. Do grupy tej należeli: Bronisław Bobiński, Ryszard Siwacki, Mariusz Hantke i Zdzisław Niewadziś. Latem 1982 r. współpracujący z nimi Adam Kuśnieruk przystąpił do budowy nadajnika z myślą o wyemitowaniu lokalnej audycji radia „Solidarność”. Audycję taką nadano 12 października 1982

r., w przeddzień kolejnej „miesięcznicy” wprowadzenia stanu wojennego.

Dalszą działalność grupy przerwały aresztowania dokonane w grudniu 1982 i styczniu 1983 r. Do aresztu trafili Kuśnieruk i Siwacki oraz współpracujący z nimi Andrzej Bedla, a w późniejszym czasie także Bobiński. W kwietniu 1983 r. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Opolu wydał wyrok skazujący w zawieszeniu w stosunku do Siwackiego, Kuśnieruka, Bobińskiego, Bedli, Hantkego i Niewadziś.

Tymczasem w marcu i kwietniu 1982 r., w związku z prowadzoną działalnością wydawniczo-kolportażową (druk ulotek na tzw. ramkach), zostali aresztowani następujący członkowie „Solidarność” z rejonu Kędzierzyna-Koźla i Zdzeszowic: Zbigniew Eret, Andrzej Kupczak, Mikołaj Siarkiewicz, Stanisław Sioła, Stanisław Rybka, Roman Zamszyn i Ewa Zawadzka.

W lipcu 1982 r. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Opolu skazał Kupczaka, Rybkę, Siarkiewicza i Zamszyna na karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. W związku z tą samą sprawą zostali internowani Daniela Hałgas, Zbigniew Kwaśnicki i Andrzej

Molendowicz z Kędzierzyna-Koźla.

W połowie 1983 r. niezniechęcony tymi doświadczeniami Ryszard Siwacki przystąpił do wydawania pisma „Solidarność Opolska”. Pismo to, drukowane pierwotnie w Kędzierzynie-Koźlu, ukazywało się aż do wiosny 1989 r.

### OSOBY, KTÓRYM MOŻNA BYŁO UDOWODNIĆ PROWADZENIE ZAKAZANEJ DZIAŁALNOŚCI, TRAFIAŁY DO ARESZTU Z POSPOLITYMI PRZESTĘPCAMI

#### Kluczbork, czyli „Nad Stobrawą

W lutym 1982 r. Bożena Kawka i Zygmunt Jurkiewicz wznowili w warunkach konspiracyjnych, jako grupa „Kruk”, wydawanie pisma „Nad Stobrawą”, ukazującego się przed stanem wojennym jako informator NSZZ „Solidarność” Ziemi Kluczborskiej. Działający niezależnie od tej grupy Ryszard Gleich z „przedwojennej” redakcji informatora przygotował w kwietniu 1982 r. inne wydanie konspiracyjne „Nad Sto-

brawą”, powielone w formie maszynopisu. Przepisywaniem biuletynu zajmowali się syn i córka Ryszarda Gleicha - Rafał oraz Beata Kleszcz.

W maju 1982 r. SB zatrzymała większą grupę osób podejrzewanych o prowadzenie konspiracyjnej działalności wydawniczo-kolportażowej w rejonie Kluczborka. Część tych osób internowano, natomiast Ryszard i Rafał Gleichowie oraz Zygmunt Jurkiewicz zostali aresztowani i postawieni przed sądem wojskowym.

W lutym 1983 r. SB aresztowała jednego z kolporterów „Nad Stobrawą”, Franciszka Sokołowskiego, a następnie także Bożenę Kawkę. W lipcu 1983 r. Sąd Rejonowy w Kluczborku wymierzył im karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. W tym czasie wydawanie „Nad Stobrawą” zostało wznowione przez Ryszarda Gleicha we współpracy z Wojciechem Gilewiczem i Jerzym Deptułą. Pismo to ukazywało się nieregularnie aż do upadku rządów komunistycznych w Polsce.

#### Akcje protestacyjne 1 maja 1982

1 maja 1982 r., bezpośrednio przed oficjalną manifestacją pierwszomajową, konspiracyjnie działające „Solidarność”

przeprowadzili akcję ulotkową na terenie dworca autobusowego w Strzelcach Opolskich. Jednym z uczestników tej akcji był kierownik Wiesław Sporyszkiewicz, przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy miejscowym oddziale PKS. Jadąc autobusem ze Strzelca Opolskich do Ujazdu, rozsypał on ulotki z luku dachowego pojazdu.

Uczestnikami akcji ulotkowej byli też inni pracownicy miejscowego oddziału PKS - Kazimierz Czwodziński i Andrzej Skowronek. W czerwcu 1982 r. Sąd Wojewódzki w Opolu skazał Sporyszkiewicza na trzy lata pozbawienia wolności.

Część grona nauczycielskiego Liceum Ogólnokształcącego w Kluczborku, manifestując swój sprzeciw wobec stanu wojennego, stawiła się na pochod pierwszomajowy w strojach odpowiednich na uroczystości o charakterze żałobnym. Część uczniów natomiast, dołączając do protestu swoich pedagogów, przystąpiła do ubrań oporniki. W ramach działań represyjnych internowano nauczycielkę Aurelię Fraszek. Dwie inne nauczycielki, Urszula Ślusarek (wicedyrektor LO) i Dobromiła Szymaniak, trafiły bezpośrednio do aresztu.

# DZIAŁALNOŚĆ KONSPIRACYJNA W BRZEGU

DR ZBIGNIEW BERESZYŃSKI

**W pierwszych tygodniach stanu wojennego przedstawiciele „Solidarność” z miejscowych zakładów pracy powołali wspólną strukturę podziemną, mającą koordynować działalność konspiracyjną w rejonie Brzegu.**

Członkami owej struktury, zaprzysiężonej 17 lutego 1982 r., zostali Zbigniew Oliwa (lider struktury), Tadeusz Czapliski, Mieczysław Hoffman, Zbigniew Hryciuk, Józef Jamróż, Piotr Jamróż, Władysław Jamróż, Jan Janik, Irena Kochanowska, Ryszard Kołdecki, Franciszek Kotecki, Stanisław Sobik oraz Adam Weleszczuk. Później dołączyli Edward Jędryszczak, Jan Kastelik i Arkadiusz Zambrzycki. Bezpośrednie zaplecze struktury stanowił utajniony zespół w składzie: Kazimierz Bączek, Ryszard Małecki, Henryk Mazurkiewicz i Maria Wojtczak.

W pierwszych miesiącach 1982 r. zaczął wychodzić „Prostownik” - pismo podziemnej „Solidarność” ziemi brzeskiej. Jego redagowanie zapoczątkował Henryk Mazurkiewicz, do którego dołączyła wkrótce Anna Szczepaniak (obecnie Anna Fastnacht-Stupnicka).

W połowie lutego 1982 r. zaczęła formować się konspiracyjna struktura zakładowej „Solidarność” w Fabryce Silników Elektrycznych „Besel”. Przystąpiono do wydawania pisma „Kornik. Działalność tę przerwała akcja represyjna SB, przeprowadzona przed 10 listopada 1982 r., u progu ogólnopolskiej akcji protestacyjnej, ogłoszonej przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność”. Do aresztu trafiło czworo działaczy zakładowej „Solidarność”: Irena Józwicka, Ryszard Mnich, Adam Staszczuk i Maria Uchto. W marcu 1983 r. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Opolu wydał

wyrok skazujący w zawieszeniu Mnicha, Józwicką, Staszczuka i Stanisława Zalewskiego.

29 kwietnia 1982 r. trzej młodzi mieszkańcy Brzegu, Jan Bosta, Piotr Łoś, i Mariusz Iwanicki, zostali aresztowani pod zarzutem malowania napisów o treści opozycyjnej. Sąd Rejonowy w Brzegu orzekł wobec nich karę pozbawienia wolności w zawieszeniu.

13 maja 1982 r. w dwóch zakładach, Fabryce Maszyn Rolniczych „Agromet” oraz Przedsiębiorstwie Mechanizacji Produkcji Zwierzęcej i Rolniczej „Meprozet”, doszło do piętnastominutowych akcji strajkowych. W ślad za tym został internowany Ryszard Ludka, inicjator strajku w „Agromecie”. Dionizy Żołyński z „Agrometu” oraz Jan Kastelik, Tadeusz Świtoń i Jerzy Zamojski z „Meprozetu” zostali aresztowani i skazani na karę pozbawienia wolności w zawieszeniu.

Działalność konspiracyjną podjęła także część brzeskiej



Krzyż kwiatny w kościele pw. św. Mikołaja w Brzegu. Krzyże o symbolice związanej z „S” mieszkańcy miasta zaczęli układać 31 sierpnia 1982, w rocznicę porozumień społecznych.

młodzieży szkolnej. W pierwszych miesiącach 1982 r. grupa uczniów z miejscowych szkół średnich utworzyła Młodzieżowy Ruch Odnowy Kraju, w skrócie MROK. Strukturę tę tworzyli: Jan Weleszczuk, Małgorzata Bentkowska, Iwona Grajewska, Klarysa Jabłońska, Piotr Po-

tock i Zenon Roszczybił. Grupa ta wydawała do 1983 r. piśmiśko „MROK”. Zajmowała się też kolportażem innych tytułów prasy konspiracyjnej, od brzeskiego „Prostownika” po różne pisma z innych regionów. Demonstracyjnie noszono zakazane znaczki „Solidarność” i oporniki.

31 sierpnia 1982 r., w drugą rocznicę podpisania porozumień społecznych, opozycyjnie nastawieni mieszkańcy Brzegu zaczęli układać krzyże kwiatne o symbolice związanej z „S” przed wejściem do kościoła pw. św. Mikołaja oraz we wnętrzu tej świątyni.

FOT. ARCHIWUM ZBIGNIEWA BERESZYŃSKIEGO

# NA POŁUDNIOWYCH RUBIEŻACH...

DR ZBIGNIEW BERESZYŃSKI

**W dniu wprowadzenia stanu wojennego - w niedzielę 13 grudnia 1981 r. - mimo panującej wszędzie atmosfery zagrożenia, odbyła się zaplanowana wcześniej uroczystość poświęcenia sztandaru dla Komisji Zakładowej NSZZ „S” przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Frotex” w Prudniku.**

Na uroczystość zorganizowaną w kościele parafialnym pw. św. Michała Archanioła, licznie przybyli pracownicy „Froteksu” oraz innych zakładów pracy wraz z poczm sztandarowym „Solidarności” z miejscowych Zakładów Obuwniczych „Primus”. Poświęcenia sztandaru dokonał ks. biskup pomocniczy opolski Wacław Wycisk. Po nabożeństwie uformował się pochód i poświęcony sztandar odprowadzono pod bramę „Froteksu”.

Tego samego dnia odbyła się również zaplanowana wcześniej uroczystość poświęcenia sztandaru zakładowej organizacji NSZZ „Solidarność” przy Zakładach Tkanin Dekoracyjnych „Welur” w Kietrze. Miejscem uroczystości był kościół parafialny pw. św. Tomasza, a poświęcenia sztandaru dokonał ks. biskup pomocniczy Antoni Adamuk. W późniejszym czasie sztandar był ukrywany w różnych miejscach.

## Nysa i Otmuchów

Od pierwszych dni stanu wojennego do najważniejszych ośrodków oporu społecznego należała Nysa. Część pozostających na wolności działaczy wznowiła wydawanie i kolportaż nyskiej prasy związkowej, ukazującej się w nowej sytuacji jako „Informator Wojenny”, „Wiadomości Wojenne »Solidarności«” itp. Pismo to redagował August Bozento we współpracy z Zbigniewem Jakubkiem, Jerzym Jakubkiem i innymi osobami. W grudniu 1982 r. kierownictwo działalności wydawniczo-kolportażowej przejął zwolniony z internowania Janusz Sanocki, lider miejscowej „Solidarności”.

Wiosną 1982 r. konspiracyjną grupę działaczy „Solidarności” z Zakładów Urządzeń Przemysłowych w Nysie rozpoczęli wydawanie własnego pisma „Odmiennym Zdaniem”. Inicjatorami tej działalności byli Władysław Pytlarz i Andrzej Borula, a do grona konspiratorów dołączyli m.in. Jan Kapturkiewicz, Zdzisław Katana, Tadeusz Kozimor, Ryszard Sekret, Lesław Sowiński oraz (po zwolnieniu z internowania) Janusz Smagoń i Franciszek Szelwicki. W drugiej połowie 1982 r. utworzono Tymczasową Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność”, dzia-



Pierwszy dzień stanu wojennego w Prudniku, 13 grudnia 1981 r. Przemarsz przez miasto ze sztandarami „Solidarności”.

lającą w warunkach konspiracyjnych.

Działalność tę zakłóciła szeroko zakrojona akcja profilaktyczno-represyjna, przeprowadzona przez SB w październiku 1982 r., a polegająca na przeprowadzeniu rewizji i przesłuchań w stosunku do dużej grupy osób podejrzewanych o prowadzenie konspiracyjnej działalności wydawniczo-kolportażowej. Wkrótce potem Janusz Smagoń, wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy ZUP, został zwolniony dyscyplinarnie z pracy za próbę zorganizowania akcji strajkowej w dniu 10 listopada 1982 r.

## ULOTKI ZE ZNAKIEM POLSKI WALCZĄCEJ I HASŁEM „SOLIDARNOŚĆ ZWYCIĘŻY” POJAWIŁY SIĘ POŃOWNIE W LUTYM 1982 ROKU

Działania represyjne SB nie położyły jednak kresu konspiracyjnej działalności związkowej w ZUP. Miejscowi działacze wznowili wydawanie „Odmiennym Zdaniem” w warunkach ścisłej konspiracji i pismo to ukazywało się aż do 1989 r. 30 sierpnia 1983 r. w kościele pw. św. Jakuba St. Apostoła i św. Agnieszki w Nysie odbyła się uroczystość po-

święcenia sztandaru „Solidarności” ZUP.

Tymczasem wiosną 1983 r. nyskich działaczy i sympatyków „Solidarności” poruszyła wiadomość o tragicznej śmierci Bogusława Podboraczyńskiego, młodego pracownika ZUP, który w niewyjaśnionych po dziś dzień okolicznościach utonął w wodach Nysy Kłodzkiej. Kilka miesięcy wcześniej, w październiku 1982 r., znajdował się on w gronie osób zatrzymanych przez SB w związku z kolportażem pisma „Odmiennym Zdaniem”.

Jesienią 1982 r., w czasie, gdy trwał proces sądowy konspiratorów z grupy wydającej w Opolu „Sygnały Wojenne”, pojawiła się nowa edycja tego pisma. Tym razem miejscem druku był Otmuchów. Drukowano tam również inne materiały, m.in. ulotki o treści antyalkoholowej, kolportowane na terenie Otmuchowa, Nysy, Paczkowa i Opola. W związku z tym w kwietniu 1983 r. funkcjonariusze SB i Zwiadu Wojsk Ochrony Pogranicza, przeprowadzili rewizję u jedenastu mieszkańców Otmuchowa i okolic. Zatrzymano dziesięć osób, a następnie aresztowano Stefana Magierę i Zbigniewa Rusinowskiego. Mimo to „Sygnały Wojenne” ukazywały się nadal.

## Akcje ulotkowe w Prudniku

W grudniu 1981 i styczniu 1982 r. konspiracyjną działalność „Solidarności” i Konfederacji

Polski Niepodległej przeprowadzili akcje ulotkowe w zakładach pracy na terenie Prudnika. Rozrzucano ulotki ze znakiem Polski Walczącej i hasłem „Solidarność zwycięży!” oraz ulotki wzywające do pamięci o górnikach poległych 16 grudnia 1981 r. w trakcie pacyfikacji strajkującej kopalni „Wujek”. W związku z tymi akcjami Sąd Wojewódzki w Opolu orzekł karę pozbawienia wolności w zawieszeniu wobec Jana Naskręta, Eugeniusza Wyspiańskiego, Adama Jochera i Jerzego Wierzbickiego.

Ulotki ze znakiem Polski Walczącej i hasłem „Solidarność zwycięży” pojawiły się ponownie w lutym 1982 r. w niektórych zakładach pracy na terenie Niemodlina, Graczy i Wójcic. Ich kolportażem zajmowali się m.in. Paweł Grzegorzczak, Marek Szerzyski i Zdzisław Dereń, działacze „Solidarności” z rejonu Nysy. Na podstawie materiałów zebranych przez SB Sąd Wojewódzki w Opolu skazał tego ostatniego na półtora roku pozbawienia wolności.

## Głucholazy i Głubczyce

W pierwszych tygodniach stanu wojennego podjęła działalność konspiracyjną również grupa członków „Solidarności” w Głucholazach. Drukowano ulotki sygnowane w imieniu Regionalnego Komitetu Strajkowego Śląska Opolskiego. Powielano także dolnośląski informator związkowy „Z Dnia na Dzień”. Działal-



13 grudnia 1981. Uroczystość poświęcenia sztandaru KZ NSZZ „Solidarność” przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Frotex”.

ność grupy sparaliżowała seria aresztowań w okresie od maja do października 1982 r. W marcu 1983 r. sąd wojskowy orzekł wobec 10 konspiratorów, Henryka Jabłońskiego, Zygmunta Żaka, Janiny Szuszkiewicz, Aliny Głombicy, Jana Jabłońskiego, Henryka Ustianowskiego, Wiesława Kulpy, Mariana Owsianki, Bogusława Homy i Henryka Szuszkiewicza, karę pozbawienia wolności w zawieszeniu.

W początkach stycznia 1982 r. w Zakładach Przemysłu Dzierżawskiego „Unia” w Głubczycach pojawiły się ulotki pochodzące z Wrocławia.

Ich kolporterami okazały się Czesława Góra i Henryk Kubiczek, działaczkę zakładowej „Solidarności”. Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego skazał je za tę działalność na trzy lata pozbawienia wolności.

# Z PODNIESIONYM SZTANDAREM

BOLESŁAW BEZEG

**Zwykle tak bywa, że wojna jest dla zwykłych ludzi dużym zaskoczeniem. Nie spodziewali się stanu wojennego zwłaszcza członkowie Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność przy Zakładach Tkanin Dekoracyjnych „Welur” w Kietrze. I zapewne dlatego go nie przyjęli. W zasadzie można powiedzieć, że w Kietrze stan wojenny zaczął się dopiero 14 grudnia 1981 r.**

Członkowie zakładowej „Solidarności” w „Welurze” akurat na feralną niedzielę 13 grudnia 1981 r. zaplanowali uroczystość poświęcenia swojego sztandaru. Zaprosili gości z bliższych i dalszych stron, uprosili biskupa Antoniego Adamiuka o osobiste przybycie i dokonanie tego uroczystego aktu.

- Wszystko było przygotowane - opowiada inżynier Włodzimierz Treć, dziś rencista, a wtedy Kierownik Działu Organizacji i Zarządzania i doradca Komisji Zakładowej „Solidarności”. - Szczegółowy program miałem zapisany bo byłem odpowiedzialny za przebieg uroczystości.

Ś.p. Maria Treć żona pana Włodzimierza była bardzo emocjonalnie zaangażowana w mające się odbyć uroczystości poświęcenia sztandaru. Sama była działaczką „Solidarności” Służby Zdrowia i jako delegatka opolskich struktur związku brała udział w I Krajowym Zjeździe „Solidarności” w Gdańsku, który odbył się jesienią 1981 r. Nic więc dziwnego, że mieli wybrać się z Głubczyc do Kietrza całą rodziną, ale w środku nocy ktoś przybiegł do ich mieszkania z ostrzeżeniem.

- Do dziś nie wiem kto to był - opowiada Włodzimierz Treć. - Zawołał, żebyśmy uciekali, bo są jakieś aresztowania, a wszędzie pełno wojska. Nie mieliśmy pomysłu gdzie by uciec więc zostaliśmy w domu.

## **Ze sztandarem i z orkiestrą dętą**

Rano, po namyśle, do którego skłoniło ich nocne zajście zdecydowali jednak, że żona z dziećmi zostanie w domu. Pan Włodzimierz pojechał do Kietrza z kolegą Wiktorem Bacem przewodniczącym komisji zakładowej z Raciborza. W Kietrze przed wejściem do zakładu na przewodniczącego Treć czekał osobiście dyrektor Oczadły i jego dwaj przybocznicy. Dyrektor zaprosił związkowca do swojego gabinetu. Dyrektor namawiał, aby związkowcy zrezygnowali

z uroczystości lub przynajmniej przeprowadzili ją jakoś dyskretnie.

- Zwińcie jakoś ten sztandar, pod kurtkę schowajcie i małymi grupkami idźcie do tego kościoła jak już musicie - radził z dobrego serca i z troski o własny stołek.

Niestety, przedstawienie jego propozycji Komisji Zakładowej nie dało wielkiego efektu. Ci ludzie byli rzeczywiście zdolni do wszystkiego. Mimo, że generał wyraźnie mówił o tym, że Polska jest na skraju przepaści, podjęli decyzję, aby przejść przez miasto pochodem, w szyku zwartym z orkiestrą i z rozwiniętymi sztandarami, własnym oraz zaproszonych delegacji różnych zakładów. Może też nie chcieli sprawić zawodu zgromadzonym gościom, w tym odważnym górnikom, którzy przybyli w galowych mundurach z Pszowa z kopalni Anna wraz ze swoją górniczą orkiestrą. Orkiestra grała przez cały czas uświetniając doniosłą uroczystość.

Przybyło też czterech przedstawicieli „Solidarności” z kатовickiej Kopalni „Wujek”. Nie dotarło tylko dwóch członków Komisji Krajowej z Gdańska, bo po drodze zaproszono ich gdzieś indziej na dłuższy pobyt. Także zespół iluzjonistów z Bytomia,

który był już w drodze do Kietrza, by uatrakcyjnić uroczystość, został w drodze zatrzymany i zawrócony.

## **Biskupie proroctwo**

Najpierw wszyscy obecni udali się do Zakładowego Domu Kultury gdzie po oficjalnym powitaniu zaproszonych gości fundatorzy wbili w drzewce sztandaru pamiątkowe gwoździe. Potem poszli do kościoła pod wezwaniem świętego Tomasza.

- Pamiętam jak dziś ten pochód, śnieg sypał wielkimi płatkami - wspomina Włodzimierz Treć. - Najpierw sztandar, potem orkiestra górnicza, za nią zgromadzeni goście, a na końcu dwa milicyjne gaziki, taka eskorta.

Nie znaczy to wcale, iż groza stanu wojennego nie dała się odczuć. Na ulicach miasta stali już uzbrojeni funkcjonariusze ZOMO.

W kościele zgodnie ze scenariuszem uroczystości nieskonfundowany stanem wojennym opolski biskup pomocniczy Antoni Adamiuk odprawił uroczystą mszę świętą, w czasie której pocieszał zebranych mówiąc między innymi „przeżyliśmy Hitlera, przeżyliśmy Stalina, przeżyjemy i Jaruzelskiego”.

Po mszy zaproszeni goście i gospodarze udali się

na uroczysty obiad. Praktycznie cały plan udało się zrealizować, wysłannicy generała ograniczyli się tylko do przydania przemarszom „honorowej” asysty milicyjnych gazików. I innych mundurowych i nie mundurowych panów także nie brakowało, ale nikt o żadnym stanie wojennym nie wspominał. Dzień jak co dzień.

## **Sztandarowa odyseja**

Jednak upieranie się przy realizacji założonych planów nie zawsze dobrze się kończy. Już wkrótce miały ich spotkać rozmaite przykrości. 14 grudnia przewodniczący NSZZ „Solidarność” w Welurze Kazimierz Gawroński został internowany i jego obowiązki musiał przejąć zastępca Adam Gielik, a wspierała go w trudnych momentach Genowefa Niedzielska. Włodzimierz Treć został uroczystie wyrzucony z pracy już z końcem grudnia 1981. Potem długo „nie mógł” jej znaleźć, a kiedy już znalazł, to jego nowi szefowie musieli się z tego tłumaczyć.

- A mnie nie internowali, może dlatego, że podczas uroczystości w przemówieniu zachęcałem do spokojnego oczekiwania na normalizację, a nie do jakichś aktów nieposłuszeństwa - zastanawia się

Włodzimierz Treć. - Oczywiście w ostatnim dniu roku 1981 poinformowano mnie, że moja dalsza praca w Welurze jest niemożliwa i przez prawie pół roku pozostawałem na utrzymaniu żony. To było bardzo frustrujące.

W końcu udało mi się trochę podstępem, bo zataił swoją nieprawomyślną historię zwolnienia, zatrudnił na stacji CPN w Kędzierzynie-Koźlu.

Sztandar po uroczystościach nie wrócił już do „Weluru”. Ukrywany był w różnych miejscach, jak na przykład w kościele czy klasztorze w Kietrze. Bywał też na Mszach za Ojczyznę organizowanych w Warszawie przez księdza Jerzego Popiełuszkę. Po którejś z nich został na dłużej ukryty w podziemiach tamtejszego kościoła.

Dziś Włodzimierz Treć mówi nam: - Mimo upływu lat bardzo przeżywam to, że Kazik Gawroński, który w pewnym sensie za moją przyczyną został wybrany na przewodniczącego, wiele wycierpiał i to nie tylko on ale i jego rodzina. A przecież intencje jego były czyste, chciał pracować dla dobra całej załogi, no i jak większość ówczesnych działaczy myślał o poprawieniu bytu nie tylko własnej załogi, ale całego kraju.

Kazik zapłacił za te dobre chęci szczególnie drogo.

Zakład Tkanin Dekoracyjnych „Welur” w Kietrze nie przetrwał swego hucznego udziału w Programie Powszechnej Prywatyzacji. Jego obiekty przez długie lata straszły wybitymi oknami, aż w końcu je rozebrano. Sztandar Komisji Zakładowej „Solidarności” Przechowywany jest na plebani kościoła skąd wyprowadzany jest przede wszystkim na pogrzeby.

Nie znaczy to jednak, że odwaga tych, którzy w dniu wprowadzenia stanu wojennego zignorowali niebezpieczeństwo i mieli odwagę „robić swoje”, została zapomniana.

W 2011 roku - w ramach obchodów 30-lecia stanu wojennego została odprawiona msza św. w kościele pw. św. Tomasza w intencji ofiar stanu wojennego oraz z okazji 30. rocznicy poświęcenia sztandaru ZTD „Welur”.

Po Eucharystii odbyło się spotkanie członków Komisji Terenowej NSZZ „Solidarność” w Kietrze z górnikami z kopalni węgla „Anna” w Pszowie.

**Pisząc ten ten tekst korzystałem z relacji mojego ojca, Jacka Bezega z 2011 roku spisanego na 30-lecie stanu wojennego.**



Czterdzieści lat temu ludzie byli gotowi dla tego sztandaru zaryzykować, a nawet pójść do więzienia, dziś jest on wyprowadzany przede wszystkim na pogrzeby...



Włodzimierz Treć w roku 1980 był doradcą Komisji Zakładowej „Solidarności” w kietrzańskim „Welurze”.

FOT. BOLESŁAW BEZEG

FOT. BOLESŁAW BEZEG

BOLESŁAW BEZEG

**Roman Kirstein jeden z twórców opolskiej „Solidarności” udzielił tego wywiadu w 2011 roku na 30-lecie wprowadzenia stanu wojennego. Pan Kirstein zmarł 5 kwietnia 2019 roku.**

**Jak to się stało, że Solidarność powstała w Opolu? Były jakieś kontakty z Gdańskiem?**

- Pochodzę z Grudziądza, akurat latem 1980 r. tam byłem. Do Gdańska dostać mi się nie udało, bo w Tczewie zatrzymywano pociągi. W latach 70. pracowałem w Pomorskiej Odlewni nr 1 w Grudziądzu i tam pracował z nami pan Edmund Zadrożyński, który był jednym z więźniów politycznych, których w 1980 r. strajkujący domagali się zwolnienia. Wtedy był już działaczem w Gdańsku. Był to bardzo ciekawy człowiek i bardzo często zamykany przez SB. Rozmowy z nim były bardzo ciekawe.

**29 sierpnia przyjechał pan do Opola...**

Tu już wrzało. Zaczęliśmy z kolegą organizować spotkania pracowników. Byłem wtedy kierownikiem bazy w Opolskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjnych. Tam, jak wszędzie, były pewne roszczenia, w związku z tym 30 sierpnia zebraliśmy ludzi, spisaliśmy postulaty, m.in. że chcemy związków zawodowych. Nie były to polityczne żądania, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że powstanie „Solidarność”, wobec tego w porozumieniu zapisaliśmy termin, do kiedy mają się odbyć wybory do związków zawodowych. Nawet przeprowadziliśmy jednodobowy strajk, na koniec którego podpisane zostało z nami porozumienie przez szefa zjednoczenia. Po tym strajku przystąpiliśmy do pracy nadal oflagowani w ramach poparcia dla stoczniovców. W Opolu było mało takich ruchów, nikt nie działał na terenie całego miasta, jeżeli coś się działo to na terenie zakładów. W związku z tym zaczęliśmy szukać innych grup inicjatywnych. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy zobaczyć, co się dzieje we Wrocławiu.

**Cosię działo?**

Chyba to było 5 września, wziąłem urlop i pojechaliśmy do tworzącego się tam MKZ-tu. (Międzyzakładowy Komitet Założycielski - red.) Przewodniczącym był tam wtedy pan Jerzy Piórkowski, który nam powiedział, że należy tworzyć własne struktury i że dzień wcześniej byli tam ludzie z opolskiej kolumny sanitarnej i z MPK. „Idźcie donich i tam się zapisujcie, potem zobaczymy”. Po powrocie do Opola poszedłem do pana Gelety do MPK, on mówił, że już zdecydowali, że będziemy się wszyscy spisywali w kolumnie sanitarnej i tak

się zaczęło. Informacja szła dalej pocztą pantoflową, zaczęliśmy się zwoływać i zapisywać na listę, tworząc MKZ. Można liczyć, że MKZ powstał w dniach 5-6 września 1980 r. Również we Wrocławiu dowiedziałem się, że 17 września jest w Gdańsku pierwszy zjazd ludzi z całego kraju, którzy pozakładali w kraju MKZ-ty lub Międzyzakładowe Komitety Strajkowe. Piórkowski proponował, że jak chcemy to on nas tam będzie reprezentował, ale po powrocie do Opola i rozmowach z panami Bardonem, Geletą i postanowiliśmy, że pojedziemy sami. Bogusław Bardon, Edward Żuraw i ja, zapakowaliśmy się do mojego malucha i pojechaliśmy do Gdańska.

**Na spotkaniu w Gdańsku spotkaliście innych Opolan...**

Tak, pana Kraśnika z Kędzierzyna i pana Forystka z Prudnika. Na tym pierwszym posiedzeniu podjęto decyzję, że siedzimy całą noc i piszemy statut, dyskusja toczyła się czy związek ma być federacyjny, czy ogólnopolski, stało na tym, że ogólnopolski, za czym optował głównie Karol Modzelewski. Powstał zarys statutu, zapisywało się ludzi, którzy będą reprezentowali poszczególne regiony, ja zostałem wydelegowany jako sygnatariusz do podpisania statutu, pan Bardon do Komisji Krajowej i rozjechaliśmy się do domów. Zaraz następnego dnia po powrocie do Opola spotkaliśmy się w Kolumnie Sanitarnej, bo tylko tam dostawaliśmy salę. Tam został wybrany pierwszy zarząd Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Opole. Przewodniczącym został Bogusław Bardon, a ja i Zygmunt Geleta zostaliśmy wiceprzewodniczącymi.

**Solidarność miała w Polsce w szczytowym okresie 10 mln członków. A na Opolszczyźnie?**

- To była lawina, myśmy nie nadawali zapisywać. Do wyborów władz regionu musieliśmy zrobić dokładne sprawozdanie z działalności MKZ-tu, od jego początku do 15 czerwca 1981 r. „17 września 1980 r. trzyosobowa delegacja dokonała aktu rejestracji MKZ w Gdańsku.” I dalej: „Przewodniczący Bogusław Bardon, zastępcy Zygmunt Geleta, Roman Kirstein, sekretarz Ryszard Pawluszkiwicz, skarbnik Janina Kurowska, oraz członkowie: Jan Głowiński, Zbigniew Ogrodnik, Andrzej Nowak, Ryszard Hawryszczuk i Grzegorz Zambruski”. Pierwszą siedzibą było pomieszczenie przy ul. Ozimskiej tam gdzie teraz jest Skwer „Solidarności”. Budynek należał do Kolumny Sanitarnej, której dyrektor nam użyczył pomieszczenia. Mieliśmy tam jeden pokój, później drugi dostaliśmy, a ręczna drukarka stała w ubikacji. 15



W grudniu 2018 roku Roman Kirstein pokazał reporterowi nto projekt multimedialnej wystawy o opolskiej „Solidarności”. Opowiada ona także o przebiegu stanu wojennego w naszym regionie.

# POWSTAWANIE „SOLIDARNOŚCI” TO BYŁA LAWINA. NA OPOLSZCZYŹNIE TEŻ

czerwca było zarejestrowanych 694 komisje zakładowych. Największy wzrost liczby zanotowano w październiku 1980 r. 30 września 1980 r. liczba członków wynosiła 2320, ale już ostatniego października 75 740, a ostatniego listopada 121 573. Stan na 15 czerwca 1981 r. MKZ Opole wynosił 160 000 członków. Byliśmy niemałym MKZ-tem, obejmowaliśmy dużą część województwa bez rejonów Kędzierzyna-Koźla i Nysy, które miały swoje MKZ-ty.

**Był pan delegatem na I Zjazd „Solidarności”...**

**JAKO WIĘZIEN POLITYCZNY SPOTKAŁEM SIĘ Z WIELKIM SZACUNKIEM. RANO WSTAŁEM SIĘ UMYĆ, WRACAM DO PRYCY, A TU JUŻ POŚCIELONE**

Działanie było już trochę inne, bo i sytuacja w kraju była inna i zadania przed związkiem były inne, których obawiałem się podjąć. Wtedy już bardziej niż o działalność związkową chodziło o walkę o niepodległość.

**Zjazd wyznaczył takie zadania?**

Niekoniecznie. Już pod koniec mojej działalności patrzyłem na coraz ostrzejsze starcia z władzą. Widać było, że związek zawodowy nie ma nic do powiedzenia, że co chce załatwić to i tak nie załatwi. To powodowało, że zaczęliśmy z tym walczyć w taki sposób, jaki oni stosowali. Trzeba było zacząć odpowiadać siłą. Zjazd również to podyktował. Od sierpnia 1981 r. stało się jasne, że w tym stroju niczego się nie da zrobić. Tego nie da się zreformować. Bojąc się utraty władzy partia próbowała różnych sztuczek.

**Dążenie do konfrontacji było inspirowane przez SB?**

- Oczywiście! Jasne, że tą główną siłą dążącą do konfrontacji chyba było SB, ale jak wynikało choćby z tej historii podsunięcia nam materiałów na temat partyjnego „mafiozo” widać było, że SB chce przejąć władzę, odbierając ją panom z partii. Ale przy władzy byli jednak partyjni, wobec tego bezpośrednie rozmowy toczyły się z partią. Byłem uczestnikiem chyba dwóch czy trzech rozmów w ministerstwach pracy i z panem Rakowskim. Wszystko kończyło się stwierdzeniem: - Dobrze, możemy tak zrobić, ale co powie Związek Radziecki? Popatrzcie co tu napisano w „Prawdzie”, że w Polsce gdzie do konfrontacji. Doszliśmy do wniosku, że nie można z nimi rozmawiać, bo to i tak nic nie da.

**10 i 11 grudnia 1981 r. pomagał pan prowadzić strajk w Zdzeszowicach...**

Żeby był oddźwięk na kraj zabroniliśmy wysłać koks do Huty „Katowice”. No to nie szło do Huty „Katowice”, ko-

lejarze się zgodzili tego dopilnować. Okazało się, że przetrzucili nasz koks przez NRD i Czecho do Huty „Katowice” ale już innymi wagonami. My nie potrafiliśmy nad tym zaplanować, okazało się, że państwo miało swoje sposoby. Lekceważyli nas już wtedy, 11 grudnia przyszedł z nami rozmawiać wojskowy.

**Stan wojenny zastał pana w Zdzeszowicach?**

- Nie, wróciłem na noc do domu. Pamiętam gdzieś koło 10 grudnia mieliśmy spotkanie z posłanką panią Dorotą Simonides. Mówiliśmy o stanie wojennym i ona powiedziała: „To jest niemożliwe! Możliwe jest wprowadzenie stanu wyjątkowego.” Wieczorem 12 grudnia siedziałem u kolegi i właśnie omawialiśmy to spotkanie, kiedy SB nas zamknęło.

**-Domyślaliście się, że będzie stan wyjątkowy?**

- Tak, wyraźnie widać było, że coś się będzie działo. Dwa dni



FOT. BOLESŁAW BEZĘG

**Roman Kirstein pozostał wierny ideałom „Solidarności”. - Moja Polska wygrała, esbecy przegrali - mówił w jednym z wywiadów.**



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

**Lucyna Kusyk i Roman Kirstein w siedzibie MKZ „Solidarności” w Opolu”. Zdjęcie wykonane podczas gotowości strajkowej w marcu 1981 roku.**

przedtem esbecy zaczęli za nami chodzić. Śmiałyśmy się z tego, że dzięki ich towarzysztwu jesteśmy bezpieczni. Siedziałem w domu, to co 2 minuty jeden jeździł windą i patrzył czy nie wychodzę. Wyszedłem, to szedł z mną. Ja do autobusu i on do autobusu. Specjalnie się nie ukrywali. Śmiałyśmy się z tego ale tylko do wieczora. Myśmy już się spodziewali czegoś takiego w marcu, kiedy był apel o 100 dni spokoju i kiedy w Bydgoszczy został pobity Rulewski. Wtedy MKZ wyprowadziłem do Prudnika. Wtedy było już tak ostro, że sądzili, że już nas pozamykają, w związku z tym było zalecenie Komisji Krajowej „S” i Wałęsy, że mamy się przenieść do dużych zakładów pracy, gdzie będzie trudniej nas wyłapać, a w każdym razie z jakimś oporem, co da nam czas.

#### Jak wyglądał pański początek stanu wojennego?

- Wspominałem, że byłem wtedy u kolegi - Edwarda Żurawia. Mieszkaliśmy wtedy w jednej klatce w „deskowca” na Chabrach: kolega Gneciak, kolega Żuraw i ja. SB jak do nas przyjechało to w jednej klatce przyszli od razu do trzech mieszkań. Nie mieli nakazu internowania na pana Żurawia, ale na jego żonę. Rozmawialiśmy sobie przy kieliszku o tym, że nie będzie stanu wyjątkowego. Jego żona akurat wyjechała na dwa dni chyba na wycieczkę do Kudowy. Przed północą wpadają, pytają gdzie żona, ja słyszę, że chodzi o moją pracownicę więc wyszedłem i pytam o co chodzi? A oni do mnie: „A pan jak się nazywa?”. Ja na to: „Kirstein”,

a oni na to: „To dobrze”. Coś tam poszeptali i zabrali mnie na dół. Umnie w domu już byli, powiedzieli żonie, że przywieźli dla mnie jakieś informacje z Gdańska i ona im otworzyła i powiedziała, że jestem na górze i tam mnie ściągnęli.

#### Były jakieś reakcje sąsiadów?

Tam już się zaczęli zbierać ludzie, bo pana Chołodeckiego z trzeciego „deskowca” wzięli szybciej. Jego mama przysłała nas ostrzec, jakiś pan z siekierą pod pachą przyszedł nas bronić. Żona poszła ostrzec Gneciaków, a tam już było SB i ją tam zatrzymali na dwie godziny, dzieciaki same z jakąś obcą kobietą siedziały w domu. Jak mnie zabierali, obudziłem dzieci i postawiłem koło stołu i powiedziałem, żeby patrzyły jak polska władza postępuje z tatą. Miałem wtedy 38 lat i trójkę dzieci.

#### Gdzie pan był internowany?

Zaraz w nocy zawieźli mnie na przesłuchanie do pana pułkownika Nowosielskiego w Komendzie Wojewódzkiej. Byłem tam może godzinę, półtorej, a potem na dół do celi, gdzie zostałem do rana. Rano załadowali nas w samochód i zawieźli do aresztu na Sądowej. Porozdzielali nas wśród więźniów. Akurat mnie wsadzili do celi, gdzie za jakieś machlojki siedział mój były pracownik. On mnie rozpoznał i od razu jako więźnia polityczny spotkałem się z wielkim szacunkiem. Rano wstałem się umyć, wracam do pryczy a tu już pościelone. Papierosów nie miałem, to dla mnie kręcili z petów. Pod dwóch dniach poinformowali nas, że jesteśmy internowani i powsa-

dzali nas do cel już osobno od więźniów. Ja siedziałem z ludźmi prawie mi nie znanymi. Rano w innych cel wychodzą na spacer, a moja cela zamknięta. Stukam, wołam, mówię „na razie nie”. Zbudowali mi pod celą klatkę z siatki i do tej klatki mnie wypuszczali i wtedy dopiero moi koledzy z celi mogli z innymi wyjść na spacer, a ja do klatki. Chodziło chyba o ograniczenie mi kontaktów z internowanymi z innych cel. Po paru dniach wypuścili jednego pana z Kędzierzyna, więc podałem mu swój adres i on poszedł do żony opowiedzieć jej gdzie jestem.

#### Namawiali pana by napisać apel.

18 grudnia przyszedł po mnie esbek i kazał mi napisać do społeczeństwa Opola, że śmierć górników w kopalni „Wujek” to przypadek, nie z winy milicji, że oni zaczęli atakować. Pomyślałem, że trzeba wykorzystać sytuację żeby się spotkać z chłopakami i mówię: „Dobrze, można coś napisać, ale my w związku nie działamy pojedynczo, macie tu członków zarządu, jest pan Chołodecki, macie tu innych ludzi z władz, dajcie nam wspólną celę to porozmawiamy i coś napiszemy”. On na to, że mam ten wniosek napisać, no to napisałem to, co powiedziałem, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

#### Po jakimś czasie przenieśli pana do osobnej celi.

13 stycznia szum - zabierają wszystkich, jak się później okazało, do Nysy, a mnie nie. Przyszedł esbek i pyta czy chcę wyjść na wolność, a ja na to: „Pewnie, kto by nie chciał?”. On odpowiada: „Dobrze, ale jest je-

den warunek. Wie pan o tym, że związki zawodowe nie zostały rozwiązane, wobec tego pan Jaruzelski i WRON proponują odwieszenie tych związków, ale muszą być ludzie zaufani. Z Opola wytypowano pana. W poniedziałek byśmy jechali do Warszawy, a w sobotę wyjdzie pan do domu by się przygotować, z tym, że w sobotę i niedzielę umawiamy się, że dzwoni pan do nas o 12.00”. Wypuścili mnie. Zgodnie z ich poleceniem i w sobotę, i w niedzielę zadzwoniłem od państwa Bednorzów do tych esbeków, żeby

### WYCHODZĄC Z INTERNOWANIA DOSTAŁEM „WILCZY BILET”. DO PRACY NIE MIELI PRAWA MNIE PRZYJĄC. ODMÓWIONO MI CZTERDZIEŚCI RAZY

się zameldować, ale ani jednej nocy nie przespałem, cały czas zastanawiałem się: co dalej robić? Osaczyli mnie jak jakąś dziką zwierzynę, przecież każdy kto wyszedł, od razu był podejrzany. No dobra, podjąłem decyzję - więcej.

#### Tonie była łatwa decyzja...

Rodzina była bez pieniędzy, jak byłem internowany komisarz ściągał z zakładu jakieś pieniądze i dawał rodzinie na życie. Jak zwiężej, to rodzina umrze z głodu. W poniedziałek o 7 rano idę do zakładu pracy do dyrektora i mówię: „Związki są zawieszane, ja miałem urlopowanie do marca, to ja teraz chcę urlop”. Kazał mi wyisać

kartę urlopową i ją podpisał. Prosto z zakładu poszedłem do opolskiego klasztoru Jezuitów przy ul. Matejki. Tam przesiedziałem prawie miesiąc, ale zaczęli węszyć po zakonach. Na dodatek misjonarz, Romek Płachta powiedział wyjątkowo ostre kazanie i SB zaczęło przychodzić na plebanię. Mówią mi tam: „Słuchaj, musimy coś zrobić, bo robi się niebezpiecznie”.

#### I co pan zrobił?

Wyszedłem z plebanii w dniu, kiedy jeden esbek umówił się tam na rozmowę i poszedłem do domu. Miałem otrzymać lokum przy ul. Książąt Opolskich. Właściciele mieszkania to byli starsi ludzie, którzy działali w grupie pana Smockiewiczza, byli zaprzysiężeni i operowali hasłami. Poszedł tam mój kolega ustalić, kiedy mogę przyjść, ale nie przekazałem mu hasła i dostał taką odprawę, że musiał wiać. Ja już czułem, że pali mi się pod nogami więc przez ogródki działkowe jakoś się tam przekradłem. Tam dostałem namiary na domek przy ul. Niemodlińskiej i informację, że mam czekać w domu, a za 3 godziny przyjedzie po mnie ktoś samochodem. Wracając do domu przez tory na nasypie spotkałem kolegę, nikt inny nie mógł mnie widzieć. Musiał donieść, bo ledwo wszedłem do domu, a tu stukają esbecy - złapali mnie.

#### I zamknęli?

Prokurator próbował mi postawić jakieś zarzuty, ale w końcu umorzył sprawę, w związku z tym ponownie mnie internowali, ale powiedzieli, że teraz już żadnych roz-

mów ze mną nie będzie do końca wojny i czekają mnie najgorsze internaty. Najpierw mnie wysłali do Strzelec Opolskich, dokąd opolan wysyłali za karę, internowani to głównie tam z Katowic byli. Tam było strasznie, musieliśmy chodzić w ciuchach zakładu karnego, wpuszczali nas tylko do boksołów na spacer, dookoła nas z psami chodzili. W końcu podjęliśmy głodówkę, która trwała siedem dni, żądając sprowadzenia do więzienia Czerwonego Krzyża. Pod koniec lutego 1981 r. przyjechał do nas ksiądz biskup Adamiuk i jego poprosiliśmy, żeby ściągnął Czerwony Krzyż. Jak w końcu miał przyjechać, to nas zaczęli rozwozić. Esbecji to nawet tam nie widziałem, ja miałem od nich spokój całkowity, ale tych z Katowic katowali, nieraz wracali z przesłuchania pobici.

#### Gdzie pan trafił ze Strzelec?

8 marca przenieśli mnie do najcięższego miejsca internowania do byłego obozu koncentracyjnego Gross Rosen w Kamiennej Górze. Więźniowie tam mieli oddziały półwolnościowe, a my internowani się dzieliliśmy w ponemieckim karcerze, gdzie esesmani trzymali więźniów, którzy podpadli. Warunki tam były straszne, nie zmienione od wojny, przeszłowały nas wilgoć, zimno i mróz. Na Wielkanoc przewieźli nas do Głogowa, nie informując rodziny. Żona pojechała na odwiedzin do Kamiennej Góry a mnie tam nie było. W Głogowie to już był tylko internat, cele były otwarte cały czas, siedziała tam internatowa elita więc czuliśmy się tam lepiej niż na wolności. Tam uczyliśmy się języków, mieliśmy spotkania, jakieś wszechnice. Ale tam dopadła mnie choroba i pod koniec maja musiałem wyjechać do szpitala. Do początku lipca byłem w szpitalu więziennym we Wrocławiu, a że stan mi się pogarszał to mnie w końcu zwolnili. Formalnie 1 lipca, ale wypuścili mnie dopiero trzeciego.

#### - Jak wyglądał powrót do normalnego życia?

- Wychodząc z internowania dostałem „wilczy bilet” i na Opolszczyźnie do pracy nie mieli prawa mnie przyjąć. Żyliśmy z niepracującą żoną i trójką dzieci tylko z pomocy Kościoła. Chciałem już wyjeżdżać za granicę. Miałem załatwiony już paszport w jedną stronę, nawet dostałem pismo ponaglające mnie do emigracji, ale wtedy dr Mazur załatwił mi na pół roku rentę. Naprawdę nie było na chleb. Sąsiedzi zostawiali w stojącym na klatce schodowej dziecięcym wózku jedzenie dla pozbawionego pracy działacza „Solidarności” - odmówiono mi zatrudnienia ponad czterdzieści razy - i jego rodziny. Nie mając szans na legalne zatrudnienie, zacząłem własną działalność gospodarczą.

# KOMUNIŚCI DRĘCZYLI NIEWINNYCH LUDZI

Jakub Forystek, były przewodniczący MKZ-u Prudnik obejmującego powiat prudnicki, a także członek Zarządu Regionu „Solidarności” Śląska Opolskiego.

KRZYSZTOF OGIOLDA

## Jak pan po latach wspomina tamten grudzień 1981 roku?

Dla mnie był tragiczny. 5 grudnia Biuro Polityczne PZPR dało do zrozumienia, iż partia ma wahania co do wprowadzenia stanu wojennego. Kontekst tych wahań jest taki, że po radomskim spotkaniu Lecha Wałęsy z szefami ogniw regionalnych „S” przyjęto kierunek w stronę ogłoszenia strajku generalnego. Niestety, komuniści dowiedzieli się o tym, ponieważ dwóch członków Komisji Krajowej przekazało nagrania. Jaruzelski wiedział, co zamierzamy. 9 grudnia w Gdańsku Komisja Krajowa przygotowała cały pakiet naszych uchwał. Mazowsze ogłosiło na 17 grudnia paraliż Warszawy. Jaruzelski wykonał ruch uprzedzający.

## Na Śląsku Opolskim też władze były przygotowane?

Milicja oddelegowała do akcji internowania 350 funkcjonariuszy, w tym 154 esbeków i 120 samochodów. Jako były internowany chcę podkreślić, że komunistom nie wystarczyło samo pozabawienie nas wolności. To było za mało. Znaleźli sposoby, jak dręczyć ludzi bez winy.

## Konkrety?

Sam fakt internowania był aktem przemocy. Do mieszkania wpadało czterech, pięciu uzbrojonych ludzi, którzy siłą nas zabierali. Do mnie przyszedli 12 grudnia o 22.00. Nie otworzyłem drzwi. To przyszedł jeszcze raz trzynastego grudnia o 1.00 w nocy. Włożyli łom, wyważyli drzwi, wpadli do środka. Dwóch mundurowych z pistoletami maszynowymi, trzeci z bronią krótką przy boku. Czwartym był esbek, który dał mi do ręki decyzję o internowaniu. To była przemoc i bezprawie. Oni działali na podstawie dekretu z 13 grudnia, który dopiero siedemnastego został ogłoszony w dzienniku ustaw i dopiero wtedy nabrał mocy prawnej.

## Jak byście traktowani?

Nie jak internowani, ale jak kryminaliści. Robiono nam fotografie, spisywano dane, odbijano nasze odciski palców z obu rąk, jak przestępcom.

## Mieliście widzenia z bliskimi?

Tak, ale kontrolowane i limitowane. Spędziłem w obozach internowania 308 dni i nocy - 10 miesięcy. W tym czasie miałem 15 widzeń, czyli 15 godzin widziałem się z żoną, dziećmi i znajomymi. Warunki uwięzienia miały nas upodlić. Przebywaliśmy w okratowanych celach ze stalowymi drzwiami, spaliśmy na żelaznych piętrowych łóżkach. W celach był stolik, umywalka i sedes, na którym trzeba było wykonywać czynności fizjologiczne w obecności kolegów, którzy patrzyli. To było zezwierzęczenie, do którego nas zmuszali. Zaglądali w tym czasie przez judasza, bo muszla była centralnym meblem w celi. To było maksymalne upodlenie.

## Próbowano wam łamać sumienia?

Taką próbą były lojalności. W każdym meldunku dziennym, który opolska esbecja wysyłała do Warszawy, znajdowała się informacja o liczbie podpisanych lojalności. To znaczy dokumentów, w których internowani przyznawali, że akceptują prawo stanu wojennego i zobowiązują się go przestrzegać. Ludzie „Solidarności”, którzy chcieli niezależności i praworządności, byli przez funkcjonariuszy, którzy nas więzili, przymuszani, aby pisemnie swoje uwięzienie zaakceptowali.

**W CIĄGU 308 DNI  
INTERNOWANIA  
WYŚLAŁEM 350  
LISTÓW W RÓŻNYCH  
SPRAWACH.  
MILICJANCI I ESBECY  
MUSIELI TO CZYTAĆ**

nego i zobowiązują się go przestrzegać. Ludzie „Solidarności”, którzy chcieli niezależności i praworządności, byli przez funkcjonariuszy, którzy nas więzili, przymuszani, aby pisemnie swoje uwięzienie zaakceptowali.

## Co to znaczy przymuszali?

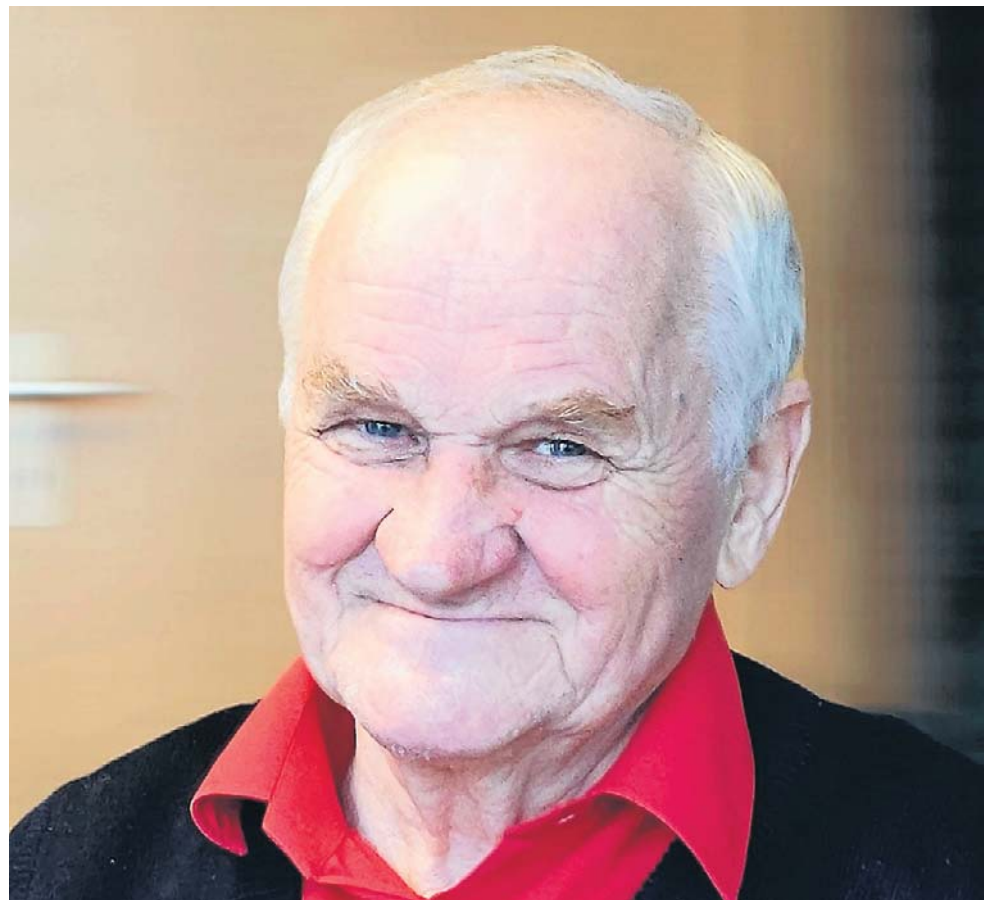
Szantażem: Podpiszesz lojalność, to cię zwolnimy. I byli ludzie, którzy się łamali i podpisywali. Podsuwano je zresztą także tym działaczom „S”, którzy internowani nie zostali. Czymś trudnym do zniesienia była także cenzura, której podlegała nasza korespondencja. Anonimowi ludzie, których nie znaliśmy, czytali i oceniali nasze listy pod względem poprawności wobec prawa stanu wojennego. Ja dużo pisałem do znajomych i dużo korespondencji otrzymywałem. Każdy list miał oznaczenie „ocenzurowano” i skreślenia, jeśli im się coś nie spodobało. Więcej, komuniści przyznawali sobie prawo do zatrzymywania listów, jeśli uznali, że w ich mniemaniu są nieprawidłowe. A przecież tajemnica korespondencji to jest podstawowe prawo człowieka. Ja o zatrzymaniu niektórych listów dowiedziałem się po 30 latach.

## Czuliście się obserwowani i oceniani?

Tak, bo nas to spotykało. Mieliśmy świadomość, że funkcjonariusze SB nie tylko nas, dorosłych ludzi śledzą i oceniają pod kątem jakichś swoich kryteriów, ale sporządzają tzw. czarne listy. Na 5 kwietnia 1982 sporządzili w naszym ośrodku odosobnienia taką listę obejmującą 13 osób. Ja też na niej byłem. Znalezienie się tam to była swoista prognoza esbecji, że należy nas - ze względu na poglądy i postawy - trzymać nadal pod kluczem. Kiedy moja rodzina zwróciła się w maju, by mnie z internowania zwolnić, to naczelnik Wydziału V odpisał, że nadal, na terenie obozu, prowadzę działalność, więc nie kwalifikuję się do zwolnienia.

## Skąd wiedział?

Było siedmiu tajnych współpracowników, którzy opisywali moje rozmowy i spotkania na terenie obozu. A i służba więzienna podsłuchiwała. Jeszcze na początku internowania namawiałem lu-



- Żałuję, że nie przygotowaliśmy się do stanu wojennego lepiej - mówi Jakub Forystek.

dzi, by nie podpisywali lojalności. Funkcjonariusz podsłuchiwał, a następnie napisał raport, że Forystek buntuje innych internowanych.

## Samo zamknięcie przez tak długi czas było dokuczliwe?

Tak, tym mocniej, że zamknięto nas do cel, nie mogliśmy wychodzić do innych cel ani na piętro. Moja pierwsza cela mieściła się w piwnicy Aresztu Śledczego. Okienko, przez które mogliśmy zobaczyć świat, było na poziomie gruntu. Było przez nie widać... śnieg. Od czasu do czasu przychodził klawisz z psem i ten pies zaglądał nam do okna. Czasem zorganizowano nam spacer na podwórku, po terenie ogrodzonym siatką. Doprowadzano nas na ten plac wielkości może 5-8 metrów na 20 m takim siatkowym tunelem, jak dzięki zwierzęta w cyrku na arenę. Bardzo mi też dokuczało ograniczenie dostępu do praktyk religijnych.

## Jak to się przejawiało?

W grudniu wypadają święta Bożego Narodzenia. Każdy człowiek w te dni przygotowuje Wigilię, ustawia choinkę, jeśli ma dzieci, szykuje dla nich jakąś niespodziankę. Ludzie łamią się opłatkiem, życzą sobie wszystkiego dobrego i wybaczą sobie przewinienia. Nam zorganizowano mszę św. dopiero 27 grudnia, czyli po świętach i dla zaledwie 40 osób. Nie wszyscy mogli na nią pójść. To też było łamanie ludzi.

## Broniliście się m. in. zasypując władzę listami...

Pisałem bardzo dużo. Do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do Ministerstwa Sprawiedliwości i w wiele innych miejsc, do opolskiego zespołu poselskiego, prosząc o powołanie komisji dla zbadania wypadków w kopalni „Wujek”, gdzie zginęli ludzie, a blisko sto osób raniono. Także do profesora Henryka Jabłońskiego, wówczas przewodniczącego Rady Państwa, pytając, czy ma spokojne sumienie po podpisaniu dekretu o stanie wojennym. Bardzo często zamiast odpowiedzi otrzymywałem pismo z informacją, że użyłem niewłaściwych słów, a zatem moja korespondencja nie będzie dalej wysłana. Które słowa były niewłaściwe, nikt mi nigdy nie wyjaśnił. Nie tylko moje listy, inni też pisali, zasadniczo były załatwiane odmownie. W ten sposób władza okazywała nam swoją wyższość i lekceważenie.

## To warto było w ogóle pisać?

Oczywiście, bo to angażowało siły milicyjno-esbeckie. Musieli to czytać i - choćby tylko negatywnie - odpowiadać. W ciągu 308 dni internowania wysłałem 350 listów w różnych sprawach.

## Z czego żyła rodzina w czasie pańskiego internowania?

Wynagrodzenie za pracę to była kolejna forma upodlenia. Pracowałem w Zarządzie Regionu. Ale pierwszą należną wypłatę pozwolono mi wypłacić dopiero w marcu. A od grudnia do marca zero. Pisałem do wojewody, do władz miasta, a oni się

śmiali. Jeden kazał mi pisać do drugiego. Przed internowaniem mieliśmy w rodzinie 13 tysięcy ówczesnych złotych na miesiąc. A potem żonie zostały tylko jej pobory - trzy tysiące. To oznaczało straszliwe obniżenie warunków życia.

## Protestowaliście jakoś?

Moja pierwsza głodówka zaczęła się 24 grudnia i trwała przez całe święta. Drugiego lutego, a także przed Wielkanocą cały obóz protestował. Kto się decydował na głodówkę, narażał zdrowie i życie. Jeden z kolegów z Nysy został wywieziony do szpitala w stanie całkowitego wyczerpania fizycznego. Ale głodówek władza się bała. Bo informacje o nich dostawały się do Radia Wolna Europa i szły w świat.

## Czy pan po 40 latach czegoś żałuje?

Uważam Jaruzelskiego za zbrodniarza i ja mu nie wybaczę do końca życia tego, co zrobił, wprowadzając stan wojenny w Polsce. Jestem wierzący i wiem, że moja religia każe mi wybaczyć, a ja nie mogę, nie potrafię. Więc jeśli czegoś żałuję, to tego, że myślałem na wypadek stanu wojennego jako „Solidarności” nie przygotowali. Nie przeszkoliliśmy ludzi, nie zabraliśmy pieniędzy z kont na później, nie przygotowaliśmy jakichś grup, które mogłyby się przeciw siłom komuny bronić. Mieliśmy do dyspozycji ludzi i mieliśmy pieniądze. Liczyliśmy, że zastrajkujemy i to wystarczy. A to się nie potwierdziło.



# SIEDZIAŁEM POD CELĄ W GRODKOWIE

BOLESŁAW BEZEG

Rozmowa z Tadeuszem Kasprovcem, dziennikarzem, nauczycielem, rzecznikiem prasowym Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „S” w Opolu, redaktorem „Solidarności Opolszczyzny”.

**Jak pan wspomina pierwszy dzień internowania w Grodkowie?**

Internowano mnie, gdy było zimno i padał śnieg. Strasznie marzłem i celi na dołku Komendy Wojewódzkiej, a gdy trafiłem do Grodkowa zaczynała się wreszcie wiosna. Po zarejestrowaniu i zafasowaniu blaszanych misek i talerzy, aluminiowych sztućców, więziennych gaci i więziennych koszul, zostaliśmy rozproszeni po celach. Wraz z Eugeniuszem Wolnickim z ZNTK w Opolu trafiłem do 8-osobowej celi od strony południowej, na końcu korytarza na piętrze. Korytarz kończył się zakratowanym oknem, z którego był widok poza mur więzienny. Pod oknem stał stolik, przy którym można było wypić kawę czy herbatę, poczytać, albo pograć w karty. „Pod celą”, znajdowało się już pięciu internowanych z Wrocławia. Jak się później okazało, najrozsądniejszym z nich był drukarz, Adam Węgiński. Początkowo, jako ofiary „łapanek” - tak się wtedy mówiło, ożywiając słownictwa z czasów okupacji; SB to było „gestapo”, co, w intencji obraźliwe, w rzeczywiście oddawało charakter tajnej policji politycznej - wzbudziliśmy zainteresowanie towarzyszy niedoli. Przychodzili nas również oglądać, jak mały w zoologii, ludzie z innych cel. Po początkowym zainteresowaniu nasze notowania spadały. Pochodziliśmy z Opoli, a nasi wykształceni współtowarzysze uważali, że w Opolu mieszkają ludzie głupszy niż we Wrocławiu. Przypomina to do złudzenia dzisiejszy podział na „wykształconych, z wielkich miast” i resztę.

**No i nie siedzieli dłużej...**

Różnicowali internowanych według dnia aresztowania; najwyżej w hierarchii stali zatrzymani 13 XII 1981 r., stanowiąc swego rodzaju arystokrację. Już jeden dzień później obniżał rangę. Dodatkowo podwyższała ją współpraca z KOR-em, a już aurę święckiej świętości i najwyższego stopnia wtajemniczenia nadawał nawet jednorazowy pobyt w warszawskim mieszkaniu Jacka Kuronia. Ma się rozumieć, że wraz z kolegą Wolnickim staliśmy na samym dole tej hierarchii. Oczywiście, nie wszyscy wrocławianie podzielali te uproszczenia.



Internowanych w Grodkowie nie kierowano do pracy w więziennych warsztatach. Sami organizowali sobie czas, np. ucząc się języków lub wspólnie śpiewając.

**Spotkał pan w więzieniu jakichś znajomych?**

Już pierwszego dnia spotkałem Jarosława Brodę, którego poznałem podczas zjazdów prasy związkowej w Ursusie i Puławach, w maju i sierpniu 1981 r. Broda był jednym z internowanych, którzy w więzieniu zawarli związek małżeński. Uroczystość przebiegała w ten sposób, że najpierw odbywała się ceremonia zaślubin w pomieszczeniu administra-

przemycano alkohol na to przyjęcie. Znacznie wcześniej, na kilka tygodni przed ślubem w paczkach od rodzin trafiały metalowe puszki z sokiem pomarańczowym. Nie było w nim jednak soku, lecz czysty spirytus. Jak się do niej dostawał? Najpierw w spojeniu robiony był małeńki otwór. Potem strzykawką wypompowywano sok i w pompowywano alkohol, otwór lutowano, zacierano ewentualny ślad i puszka ze spirytusem była gotowa.

**Jak spędzaliście dni? Internowanych nie kierowano do prac zarobkowych ani do więziennych warsztatów...**

- W nudnym więziennym życiu sami organizowaliśmy sobie zajęcia. Była to m. in. nauka języków obcych. Uczestniczyłem w kursach angielskiego i francuskiego. Nie przypominam sobie, by któryś z „arystokratów” brał w nich udział. Zajęcia z angielskiego prowadził internowany nazwiskiem Biały, natomiast z francuskiego Seniuta, niestety ich imion nie pamiętam. Prócz nauki języków i lektury, niektórzy spędzali czas na grze w bilard, czy w brydża (odbył się nawet turniej brydżowy). W słoneczne dni, wylegiwaliśmy się na spacerku, a niektórzy grali w siatkówkę. Przy okazji tej gry padały głośne przekleństwa, aż nam to kiedyś

wypomniął ksiądz podczas kazania na mszy św., która odbywała się co tydzień w piątek na korytarzu I piętra przy prowizorycznym ołtarzu. Nasz chóralny śpiew był tak donośny, zwłaszcza, gdy śpiewaliśmy „Pieśń konfederatów barskich”, że drżały mury małego, grodkowskiego więzienia. Z chóru wybijał się czysty, silny, donośny głos Jurka Deputy z Kluczborka, sympatycznego mi człowieka. Sympatię tę wzmacniały znakomite konfitury z płatków róży, które przywoziła mu do żona. Niestety, Jurek już od szeregu lat nie żyje.

**Jakieś formy uprzykrzenia życia, albo represje ze strony tych co was uwięzili?**

SB nie dawała nam spokoju nawet w więzieniu. Namawiała do rozmów i współpracy. Większość z nas odmawiała takich rozmów, lecz niektórzy zgadzali się na nie. Czy podejmowali współpracę, nie wiem. Być może w pojedynczych przypadkach tak. Inną formą ingerencji były przenosiny z celi do celi. Miało to spotkać i mnie. Odmówiłem przeniesienia się. Za nieubordynację miałem zostać ukarany trzema dniami „kabariny”, czyli odosobnienia. Ale przed tym zamknięciem należało przejść badania lekarskie. W grodkowskim więzieniu nie było lekarza tylko felczer. Ten

nie chciał podjąć decyzji. Zawieziono mnie więc do więzienia w Brzegu. Tam okulista po zbadaniu moich oczu i informacji, że z większej celi południowej i z dwoma oknami mam zostać przeniesiony do mniejszej z jednym oknem i od strony północnej, kategorycznie zabroniła tych przenosin. Gdybym spotkał komendanta, mógłbym mu pokazać gest Kozakiewicza...

**Jak zachowywali się klawiszowie?**

Formą uprzykrzenia nam życia było podglądanie nas przez „lipa”, czyli wzierniki. Efektem tego były przeszukania zwane „kipiszami”. W odwecie porysowaliśmy szkiełka we wszystkich celach papierem ściernym i pozamazaliśmy margaryną. Wściekły komendant nakazał skazanym z obsługi więzienia powymieniać „lipa”. Ci nie kryli zadowolenia z naszego czynu. Po wymianie któryś z nas poprosił jednego z odwiedzających o dostarczenie rolki przeźroczy pomograficznych. Rolka została pocięta na klatki, a każda klatka umieszczona w „lipie”. Do dnia mojego wyjścia z więzienia, czyli do 23 lipca 1982, żaden z klawiszów nie zameldował komendantowi, co widział w „lipie”.

**Stopniowo internowani zaczęli opuszczać więzienie...**

Ale nie wszyscy trafiali na wolność. Gdzieś pod koniec maja, a więc po miesiącu pobytu w więzieniu, klawisz powiadomił Eugeniusza Wolnickiego, by się pakował i zdał do magazynu więzienne rzeczy. Na twarzy kolegi widać było nieukrywaną radość, a ja mu bardzo zazdrościłem domniemanego zwolnienia. Istniał przy tym taki zwyczaj, że każdy zwalniany zjawiał się za więziennym murem, a my machaliśmy mu z okna na pożegnanie. Ale Gienek się nie pojawił. Z więzienia zabrało go dwu „smutnych panów” i zawiozło do Opoli. Wyszedł pod koniec roku, po rozprawie i wyroku. W notesie dziewczyny, która była łączniczką pomiędzy konspiratorami, esbecy znaleźli jego pseudonim i inne namiary. Reszta była jkwestią czasu.

**A pańskie wyjście z więzienia?**

- Oczywiście, to był upragniony dzień. Po załatwieniu formalności najpierw poszliśmy przed mur więzienny, by pożegnać się z kolegami, a potem do kościoła. Rysiek Chilczuk padł na kolana i gorąco się modlił. Widziałem, że po jego policzkach spływały łzy. Ja nie byłem taki wrażliwy. Potem, na postoju, wsiedliśmy do taksówki. Ruszyła. Wiozła nas do naszych rodzin, do wolności.

# PRAWDA GŁOSZONA NA DACHACH, CZYLI „RADIO SOLIDARNOŚĆ” NADAJE

BOLESŁAW BEZEG

**Piotr Skrobotowicz, współtwórca jednej z największych organizacji „Solidarności” w województwie opolskim i jeden z filarów wrocławskiego podziemnego „Radia Solidarność” skutecznie ukrywał się przez blisko 16 miesięcy stanu wojennego...**

W tym czasie SB do jego poszukiwania zaangażowało kilkadziesiąt funkcjonariuszy i tajnych współpracowników oraz liczne „kontakty operacyjne”. Na próżno. Nigdy nie dowiedzieli się gdzie spędził pierwsze miesiące stanu wojennego, ani też, że w tym czasie był jednym z filarów wrocławskiego podziemnego „Radia Solidarność”.

Piotr Skrobotowicz od zawsze fascynował się elektroniką, może trochę dlatego, że mieszkał niedaleko Zespołu Szkół Elektrycznych przy ul. Kościuszki 26 w Opolu. Po ukończeniu opolskiego „elektryczniaka” próbował dostać się na wydział elektroniki Politechniki Wrocławskiej, ale za pierwszym razem się nie udało. Trzeba było pójść na narok do pracy, zatrudnił się więc w małej usługowej placówce ZURiT-u przy ul. Mondrzyka (dziś Osmańczyka).

- Tam nauczyłem się elektroniki, zawodu, wchodziły wtedy na rynek pierwsze półprzewodnikowe radia, takie jak „Koliber” i inne - wspomina Piotr Skrobotowicz.

## Pasja życia

Rok pracy pozwolił pogłębić wiedzę elektroniczną także o praktykę. Studia na politechnice przerwały wydarzenia roku 1968, w które zaangażował się zbyt aktywnie, co zaowocowało relegowaniem z uczelni „bez prawa powrotu na studia wyższe” i powołaniem do wojska. Po różnych perypetiach ostatecznie skończył studia i wrócił do Opola i do pracy w ZURiT-cie wkrótce włączonym do Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego.

- Zostałem tam kierownikiem laboratorium, podlegało mi wyposażenie warsztatów w całym województwie i szkolenia - wspomina. - Wchodziły do powszechnego użytku tranzystory i telewizja kolorowa, trzeba było szkolić pracowników. Pojawiły się telewizory, takie jak rosyjski „Rubin” i nasze „Neptuny” oraz produkty Warszawskich Zakładów Telewizyjnych.



Piotr Skrobotowicz pokazuje swoje dzieła z czasów działalności w „Radiu Solidarność” nadajnik i dopalacz.



Jego studia na Politechnice Wrocławskiej przerwały wydarzenia roku 1968, w które zaangażował się tak aktywnie, że zaowocowało to relegowaniem z uczelni i powołaniem do wojska.

Kiedy w sierpniu 1980 r. dowiedział się o wybuchających w całym kraju strajkach pan Piotr wziął tydzień urlopu i pojechał zobaczyć co się dzieje do Wrocławia, gdzie miał wielu kolegów ze studiów.

## Pierwszy strajk w Opolu

- Byłem w wielu miejscach, koczowałem pod zajezdnią tramwajową, widzieliśmy orkiestrę Opery Wrocławskiej, która występowała dla strajkujących na specjalnym podium. Dyrygował nią hrabia Dzieduszycki, zresztą agent od lat 50. - wspomina. - Wszystko się wtedy kotłowało. Przyjechałem w so-

botę z Wrocławia, patrzę a tu nikt nie strajkuje, więc przyjąłem sobie za punkt honoru sprawić, żeby i w Opolu występowała dla strajkujących. Kupiłem kwiaty i poszedłem do zajezdni PKS przy dworcu. Powiedziałem ludziom na bramie, że ich baza na Rodziewiczów już strajkuje i dałem

im kwiaty, to oni postawili wazon, położyli szlaban i zaczęli strajkować, potem pobiegłem na Rodziewiczów i powiedziałem, że baza przy dworcu strajkuje, więc i oni postawili szlaban. W ten sposób honor Opola został uratowany. Taki był mój wkład w ten strajk.

Już wkrótce zainicjował powstanie grupy inicjatywnej dla założenia związków zawodowych w WPHW, siłą rzeczy weszli do niej głównie pracownicy pionu usług. Równolegle w znajdującej się na drugim końcu miasta dyrekcji WPHW powstała grupa działaczy zainicjowana przez Jerzego Łysiaka.

## Cios w próżnię

- W sobotę, 12 grudnia, było zimno, pojechałem tego dnia do Wrocławia, do Ryśka Wojtasika, który działał na Mazowieckiej w Zarządzie Regionu. On tam prowadził radio. Nagrywał setki kaset i kurierzy rozwozili je do zakładów, gdzie puszczano je w radiowęzłach. Ja się chciałem pod to jakoś podpiąć - wspomina Piotr Skrobotowicz. - Około 22 wyjechałem moim maluchem do Opola. Już koło dworca wschodniego stała milicja. W tym czasie wynajmowałem mieszkanie przy ul. 1 Maja, ale SB o tym nie wiedziało, więc w nocy przyszli po mnie na ul. Kościuszki do mojej matki, która powiedziała im, że nie

wie gdzie jestem. Rano zadzwonił do mnie Janusz Dąbrowski, który pracował w „Polmożbycie” i mówi: „Nie złapali cię? Wojsko na ulicy”. Mieszkał na Koszyka, na 10. piętrze i od niego dobrze widać było ruch wojska na głównej ulicy Zaodrza. Wsiadłem w malucha i pojechałem do niego. Tam spędziłem dzień, zastanawiając się co dalej i obserwując odbywający się tam przez cały dzień ruch wołów bojowych i czołgów, które nie wiadomo dokąd jechały.

Po kilku dniach koczowania u znajomych Piotr Skrobotowicz całkiem legalnie został przyjęty na oddział dermatologiczny do szpitala przy pl. Armii Czerwonej (dziś Kopernika). W szpitalu spędził blisko miesiąc.

Po wyjściu ze szpitala przez jakiś czas ukrywał się u starszego małżeństwa w mieszkaniu przy ul. Książąt Opolskich. W tym czasie opolska Służba Bezpieczeństwa intensywnie poszukiwała nieuchwytnego działacza. W materiałach IPN zachował się plan przedsięwzięć operacyjnych jakie podjęto w celu schwytania Piotra Skrobotowicza. Dokument zawiera 17 zadań dla poszczególnych komórek opolskiej Służby Bezpieczeństwa z rozpisaniem na konkretne osoby, od obserwacji mieszkania matki, poprzez skaptowanie skłóconego z nią sąsiada, ustalenie sygnałów alarmowych dla agentów pracujących w WPHW na wypadek pojawienia się poszukiwanego, sprowadzenie z Wrocławia pełnej dokumentacji z czasu rozpracowywania go podczas studiów, sprawdzenie kontaktów z okresu studiów, nałożenie stałej obserwacji na samochody, którymi w ostatnich miesiącach poruszał się poszukiwany (samochody znajomych, którzy go podwozili), kontrola korespondencji wszystkich znanych SB przyjaciół poszukiwanego, nawiązanie współpracy z zazwyczaj lekceważonymi przez SB wydziałami kryminalnym i ruchu drogowego Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, współpracy z placówkami SB we Wrocławiu, Gdańsku, Lublinie i Białej Podlaskiej, przeprowadzenie rozmów operacyjnych z rodzicami poszukiwanego w celu przekonania ich by namówili syna do ujawnienia się. Wszystko na próżno.

## „Radio Solidarność”

FOT. BOLESŁAW BEZEG

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

- Późną wiosną 1982 r. dogadałem się z wierchuszką wrocławskiej „Solidarności” i ustaliliśmy, że opracuję konstrukcję i zorganizuję dla nich podziemną fabrykę nadajników dla podziemnego „Radia Solidarność” - wspomina Piotr Skrobotowicz. - Pracowało w niej siedem osób, które się wzajemnie nie знаły. Kolega z radiotechniki, inny z uniwersytetu, każdy był specjalistą z innej dziedziny i co innego robił. Płytki drukowane trawiłem u Marka Trzeciakowskiego w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych IASE, vis a vis ZOO. Najpierw zrobiłem prototypy, a potem ruszyła niemal seryjna produkcja. Część prac wykonywałem w warsztatach uniwersytetu koło obserwatorium astronomicznego, dużo mi robili też w Radiotechnice. Czasami też przyjeżdżałem do Opola, np. blachę miedzianą 1,5 mm dostarczał mi Józef Gorzkowski z opolskiej „Wagonówki”.

Wkrótce powstała konstrukcja i dokumentacja, którą powielono w ponad 100 egzemplarzach aby ją rozkolportować po kraju, żeby w innych miastach też można było podjąć podobną produkcję lub naprawiać wrocławskie urządzenia. Wyprodukowano około 100 nadajników, ale były one praktycznie jednorazowe. Były instalowane na dachach wy-

branych budynków we Wrocławiu i uruchamiane w zapowiedzianym przez ulotki i podziemną prasę terminie. Na audycje czekały tysiące słuchaczy, ale także setki agentów SB, którzy nie ustawali w staraniach o namierzenie nadajników i często im się udawało je znaleźć. Nadajnik był podłączony do małego samochodowego magnetofonu. Podstawowy nadajnik miał moc 40 watów. Z czasem opracowano do niego „dopalacz” dający 100 watów. Do nadawania używano zaadaptowanych standardowych anten odbiorczych typu Yagi z kablem 75-omowym. Urządzenia działały na ówczesnych standardowych zakresach UKF 68-73 MHz.

- Pod koniec, kiedy już w mieście bardzo nas prześladowali, takim nadajnikiem nadawaliśmy z góry w Białym Kościele koło Trzebnicy - wspomina Piotr Skrobotowicz.

- My zajmowaliśmy się sprawami technicznymi - produkcją sprzętu, kto inny robił audycje, kto inny biegał po dachach i to instalował. To byli odważni ludzie. Wszystko było dobrze zorganizowane. Specjalna grupa wyznaczała budynek, kilka dni wcześniej szli do wyłazłów na dach, rozcinali kłódki i zakładali swoje. Nadajniki były tak skonstruowane,

że miały 10 minut czystej rozbiegówki. Dopóki nie było sygnału akustycznego to nadajnik nie działał. Zrobiłem taki układ elektroniczny, który włączał nadajnik w chwili gdy pojawiał się sygnał akustyczny, a gdy sygnał zanikał nadajnik „zdychał” i dzięki temu cały układ był trudniejszy do namierzenia przez SB.

Do zasilania używano łączonych szeregowo pakietów „płaskich” baterii 4,5 V, uzyskując napięcie 28 volt, co w zupełności wystarczało na wyemitowanie 5-minutowej audycji „Radia Solidarność”.

#### Z oddechem SB na plecach

Służba Bezpieczeństwa nie próżnowała, w okolicach tajnego warsztatu, w którym uruchamiano próbnie nadajniki coraz częściej widziano podejrzane samochody, prawdopodobnie z pelengatorami (urządzeniami do namierzania nadajników).

- SB coraz bardziej deptała nam po piętach. Do próbnego uruchomienia nadajnika trzeba było go włączyć, a 40 wat było łatwo pelengować, więc czując oddech SB na plecach przenieśliśmy ostatni etap produkcji do garażu jednego z kolegów w Trzebnicy i tam stroiliśmy te nadajniki - wspomina Piotr Skrobotowicz. - Na początku audycja wcho-

dziła na wolne częstotliwości, ale to było łatwo namierzyć, więc wpadliśmy na pomysł, żeby wchodzić na częstotliwości słabych nadajników, np. czeskich rozgłośni i je lokalnie wypierać. Wtedy trzeba było więcej naszych nadajników. Pamiętam, że maksymalnie pracowało naraz pięć naszych nadajników w różnych punk-

### NA AUDYCJE CZEKAŁY TYSIĄCE SŁUCHACZY, ALE TAKŻE SETKI AGENTÓW SB, KTÓRZY NIE USTAWALI W STA- RANIACH O NAMIERZE- NIE NADAJNIKÓW

tach Wrocławia. Nie wiem, jak często udawało się odzyskać nadajnik, ja je tylko produkowałem i oddawałem innym, a tam już czarna dziura. Na tym polegała konspiracja.

W obliczu zagrożenia wpadką jesienią 1982 r. zakończono podziemną produkcję. Gotowe urządzenia przekazano zwierzchnikom, a części ukryto w skrytce w piwnicy jednego z kolegów. Z tego źródła Piotr Skrobotowicz po latach odzyskał dwa urządzenia, które ma do tej pory: nadajnik i dopalacz.

- Potem jeszcze opracowałem nadajnik na telewizyjną częstotliwość 228 MHz powstał prototyp, audycje miały wchodzić na fonię programów telewizyjnych, ale to nie doczekało się realizacji w praktyce - wspomina. - 31 marca 1983 r. przyjechałem do Opola i poszedłem do Jurka Łysiaka, który w międzyczasie wrócił z „internatu” do pracy. Pogadaliśmy i pojechałem ze mną na komendę MO, gdzie się ujawniłem. Ogłaszali to w telewizji i pisali w „Przekroju”, że „w Opolu ujawnił się były przewodniczący byłego związku zawodowego Skrobotowicz”...

#### Na swoim

Po ujawnieniu Piotr Skrobotowicz rozpoczął pracę w Zakładach Naprawczych Sprzętu Medycznego przy ul. Oleskiej.

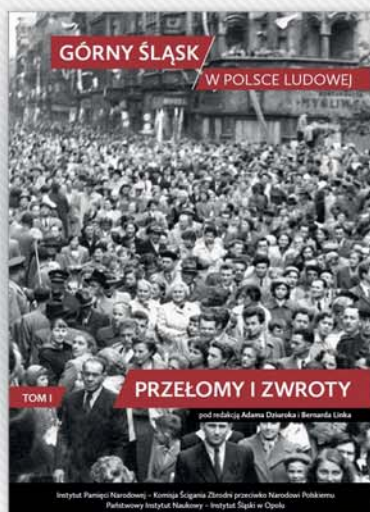
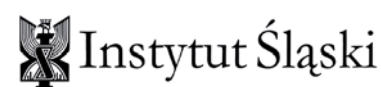
-W 1984 r. na placu Sebastiana zatrzymał mnie patrol milicji, któremu zrobiłem wykład na temat marksizmu komunizmu, powstała z tego notatka służbowa i w moim zakładzie pracy pojawili się esbecy, po których wizycie dyrektor powiedział mi, że dobrze by było, żebym się sam zwolnił. Więc się zwolniłem i zacząłem się rozglądać za pracą na własny rachunek.

- Okazało się, że muszę zdać egzamin czeladniczy w Izbie Rzemieślniczej - dodaje.

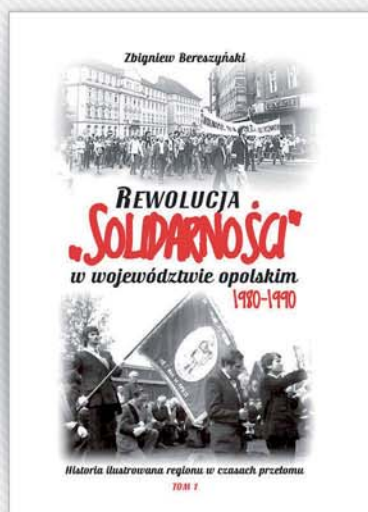
- Zdałem ten egzamin i na podstawie zaświadczenia, że jestem czeladnikiem wystąpiłem do Urzędu Miasta o przydział lokalu na świadczenie usług elektroniki samochodowej. Tak długo nękałem urzędników aż przydzielili mi pomieszczenie 23 m kw. w suterenie koło Filharmonii Opolskiej. Sufit się tam walił, ale koledzy pomogli zrobić remont i tam uruchomiłem pierwszy warsztat. Zawsze mnie interesowały sprawy elektroniki motoryzacyjnej, zacząłem wtedy robić elektroniczne oszczędzacz paliwa do małego i dużego fiata oraz tyrystorowe moduły zapłonowe. Tam też zrobiłem pierwszy regulator do prądu do małego fiata. Jak się to przyjęło zaczęliśmy je produkować na większą skalę. W wynajętych od GS pomieszczeniach po dawnym barze „Ewa” przy ul. Ozimskiej zainstalowaliśmy pierwszą wtryskarkę, weszliśmy jako dostawca do FSO, dla którego zrobiliśmy kilka rewolucyjnych rozwiązań do poloneza, potem wynajęliśmy pomieszczenia od spółdzielni „Odra”.

Obecnie zajmująca się produkcją elektronicznych podzespołów do samochodów firma Piotra Skrobotowicza Auto Power Electronic mieści się przy ul. Zbożowej w Opolu i stale prowadzi się w niej badania nad nowymi rozwiązaniami.

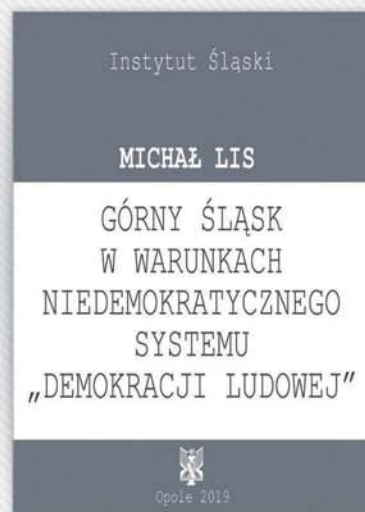
## Polecane publikacje Instytutu Śląskiego na 40-lecie wprowadzenia stanu wojennego



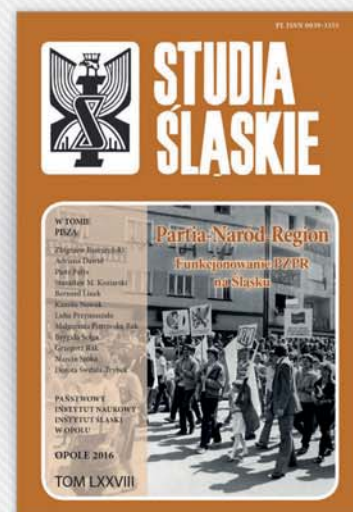
(red.) ADAM DZIUROK, BERNARD LINEK,  
Górny Śląsk w Polsce Ludowej  
(Wydawnictwo 3-tomowe.  
Tom 1 dostępny również bezpłatnie online  
i w wersji niemieckojęzycznej)



ZBIGNIEW BERESZYŃSKI,  
Rewolucja „Solidarności” w województwie  
opolskim 1980-1990. Historia ilustrowana  
regionu w czasach przełomu.  
(Wydawnictwo 3-tomowe)



MICHAŁ LIS, Górny Śląsk w warunkach  
niedemokratycznego systemu  
„demokracji ludowej”



(RED.) BERNARD LINEK,  
„Studia Śląskie, tom 78. Partia  
- naród - region. Funkcjonowanie  
PZPR na Śląsku”

# STRASZYLI NAS KARABINAMI I WYWÓZKĄ NA SYBERIĘ, ALE WYGRALIŚMY!

KRZYSZTOF OGIOLDA

**Bożena Paliwoda-Olszewska, Lucyna Kusyk i Andrzej Tomczyk mieli odwagę w 1980 roku powiedzieć komunistom „nie”. Przeciw takim jak oni skierowany był stan wojenny. Po 34 latach pamiętają go, jakby był wczoraj.**

Dla Bożeny Paliwody-Olszewskiej stan wojenny 1981 roku zaczął się dzwonkiem do drzwi i kłamstwem. Była noc z 12 na 13 grudnia.

- Drzwi funkcjonariuszom po cywilnemu otworzyła mama - wspomina pani Bożena. - Nie mówili nic o generale ani o dekreście o stanie wojennym. Powiedzieli, że spaliła się szkoła w Jełowej, gdzie wtedy pracowałam, a oni złapali jakichś miejscowych chłopaków i mam jechać na konfrontację. Poszłam, nie myśląc o tym, że część nauczycieli mieszka w Jełowej, więc jazda po mnie do Opolu jest bez sensu. Przed kłatką stała milicyjna suka, która nie zawiozła mnie do Jełowej, tylko Komendy Wojewódzkiej MO.

Tam pani Bożena po raz pierwszy usłyszała i zobaczyła na piśmie zarzut: działanie na szkodę socjalistycznej PRL. Na dole dokumentu słowa: stan wojenny. Były szokiem.

- Zamykana w podziemiach komendy nie pytałam, jaka wojna ani z kim - wspomina. - Zrewidowano nas, po-

brano odciski palców i zrobiono zdjęcia, jak bandytom. Tam usłyszałam, że Ruscy się z nami rozprawią. Pójdziemy na rozmowę. Trafiłam do małej dwuosobowej celi, w której pudła z desek zastępowały łóżka. Z zastaną tam dziewczyną spekulujemy, że jednak nas wypuszczą. Najdalej we wtorek.

## **Esbek wpychał do ręki amerykańską wizę**

W poniedziałek po południu Bożena - wraz z innymi działaczami „S” pod bronią maszynową zostaje wyprowadzona do więziennej karetki. Strażnicy straszą, że to początek drogi na Syberię. W rzeczywistości trafiają o wiele bliżej - do aresztu na Sądowej w Opolu. Kobiety zajmują 13-osobową, dramatycznie zimną, celę z grającym na ścianie kukurużnikiem. Z niego dowiadują się o masakrze górników z „Wujka”.

- Esbek, który mnie przesłuchiwał, wciskał mi do ręki amerykańską wizę - mówi Bożena Olszewska. - Na przemian straszył i pouczał, że komuna się nigdy nie skończy, więc nie mam w Polsce nic do szukania.

- Ja tu zostanę - odpowiedziałam - i doczekam, kiedy ty będziesz odpowiadał za to, że ja tu siedzę. Roześmiał się ostentacyjnie.

Te wspomnienia pochodzą nie tylko z pamięci. Bo-

żena ma przed sobą kilkanaście kart zapisanych ciasnym odręcznym pismem. Kiedy w Wigilię o 17.00 zwalniano ją do domu notatki z internowania wyniosła w majtkach.

Do więzienia Bożenę Olszewską zawiodła działalność w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów (była jego wiceprzewodniczącą). Drukowali poza cenzurą pismo „Aneks”, wydawali m.in. „Zarys historii PRL” Natalii Naruszewicz (pod tym pseudonimem ukrywał się lider KPN Leszek Moczulski, ten sam, który skrót PZPR rozwinął jako „Płatni Zdrój Pachołki Rosji”) i „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego - opowieść o życiu w sowieckich łagrach. W NZS działała biblioteka druków nielegalnych. W stanie wojennym została tak starannie zakopana w nocy pod jakąś kapliczką za Nysą, że do dziś nie udało się jej znaleźć.

- Na matrycę strony w drewnianej ramce kładło się rajstopy, smarowało farbą drukarską i wałkiem do ciasta odbijało się druk na papierze.

Każdy taki druk nie dość, że był próbą obalenia ustroju siłą, to godził w sojusze. W „noc generała” Bożena została więc internowana.

- W któryś wieczór pod aresztem na Sądowej usłyszeliśmy gromki śpiew: hymn, „Rotę”, „Boże, coś Polskę” - wspomina. - Natychmiast pobiegliśmy do okien

aresztu z myślą: Jezus Maria, demonstracja pod więzieniem. Chciałam krzyczeć: Idźcie stąd, bo was zabiją. Któraś z nas błagała: Nie strzelajcie do nich. Dopiero po czasie zorientowałyśmy się, że śpiewnie płynię z ulicy, tylko - odbity od więziennego muru - wewnątrz. To śpiewali nasi chłopcy w celach przy otwartych oknach. Za chwilę w miasto poniósł się okrzyk: Solidarność, solidarność.

Więzienie niosło przykre doświadczenia i pociechy. Esbecy próbowali szczuć jednych zatrzymanych na drugich, że iksińska czy igrekowska donosi. Świetnie spisują się więźniowie kryminalni. Dostarczają politycznym grypsy, choć wraz z ich przybyciem kryminalnym odebrano widzenia i inne przywileje.

Do internowanych docierały wieści o godzinnym strajku solidarnościowym w Paryżu i o kolejce w wazywniaku, która się rozstąpiła, gdy mąż jednej z zatrzy-

many powiedział, że potrzebne są jabłka dla internowanych.

## **Przysięga na krzyż i Pismo Święte**

Andrzeja Tomczyka z Namysłowa właśnie stan wojenny uczynił prawdziwym działaczem „Solidarności”.

- Wcześniej byłem wolnym strzelcem. Traktowałem „S” jako ruch społeczny, bez wchodzenia w strukturę - przyznaje - pomagałem w kolportażu ulotek. Miałem przyjacielskie kontakty we Wrocławiu i stamtąd tę bibułę przywoziłem.

Krótko po 13 grudnia Tomczyk dostaje propozycję wejścia w strukturę konspiracyjnej „S”. Po naradzie z żoną i tygodniowym namyśle - niebezpieczeństwo utraty pracy, uwięzienia, przymusowej emigracji, nawet śmierci było realne - decyduje się wziąć udział. Przysięga na krzyż i Pismo Święte odbiera od niego Lech Stefan, członek zarządu RKS Dolny Śląsk.

Ulotki w Namysłowie i okolicy rozrzucał nadal (ludzie bali się je brać bezpośrednio z ręki do ręki). Największą akcją, w jakiej uczestniczył, był ślub Marii i Józefa Piniorów. Pinior był przewodniczącym KRS na Dolnym Śląsku. To on podjął z konta „S” 80 mln zł, co 30 lat później utrwalił w głośnym filmie Waldemar Krzystek.

- Młoda parę przywieziono do mnie do mieszkania w bloku 18 marca 1983. Na drugi dzień odbył się ślub w kościele Piotra i Pawła - opowiada pan Andrzej. - Ja odbierałem gości i przywoziłem do kościoła. - To, co ksiądz Aleksander Matyka zrobił, było przestępstwem zagrożonym więzieniem: Piniorowie nie mieli ślubu cywilnego, a dostali - za zgodą biskupa - kościelny. Wśród gości był Eugeniusz Szumiejko, członek Tymczasowej Komisji Krajowej. Konspiracja była więc tak głęboka, że ani wikary, który grał na organach, ani ministrant służący do mszy nie wiedzieli, czyj to ślub. Wtedy w Namysłowie wiedzieli tylko trzy osoby: ks. prałat, jego gospodyni i ja.

Wesele odbyło się w domu u Tomczyków. Pan Andrzej uprzedził sąsiadów, że organizuje spotkanie kolegów ze studiów. Tańców nie było, musiały wystarczyć rozmowy. Noc poślubną nowożeńcy spędzili na plebanii.

- Na drugi dzień goście wyjeżdżali - wspomina pan Tomczyk. - Gienek Szumiejko zapomniał o kierunkowskazie i natknął się na milicjanta. Ten na szczęście nie spodziewał się tej rangi działacza „S” w Namysłowie, więc nawet mandatu nie zapłacił, nie mówiąc o aresztowaniu.

Andrzej Tomczyk zabezpieczał także logistycznie spotkanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „S”, która dwa razy obradowała w Namysłowie. Za pierwszym razem mieszkania używały były akowiec, Stanisław Jackiewicz. Lokal był dobry, bo duży. W dodatku naprzeciw mieszkał esbek, nikt się tam konspiratorów nie spodziewał. Ale na wszelki wypadek gospodarz zdjął siatkę z ogrodu za domem, by łatwiej było uciekać w razie wpadki. Kartkę z autografami uczestników tamtego spotkania pan Andrzej przechowuje do dziś.

- Jan Krzysztof Bielecki, przyszły premier, przyjechał białym mercedesem, ledwo go w garażu zmieściłem, Zbyszek Bujak, z doklejonymi wąsami i brodą, dotarł pociągiem. W drodze z dworca nikt go na szczęście nie rozpoznał. Pierwszy raz obradowali od 31 października do 2 listopada 1983. Ks. prałat odprawił dla nich w domu mszę. Tu w Namysłowie po raz pierwszy „Solidarność” przyjęła stanowisko, że socjalizm jest niereformowalny. Kolejne posiedzenie odbyło się rok później na probostwie. Z okna od podwórza zwiisała gruba lina na wypadek ucieczki.

Na plebanii w Namysłowie spotykał się z władzami dolnośląskiej „S” kardynał Henryk Gulbinowicz. Pretekstem do przyjazdu i oficjalnego pobytu na plebanii było poświęcenie a to monstancji, a to obrazu. Kardynał uczestniczył w kolacji z wszystkimi, ale po jakimś czasie chciał się zwykle odświeżyć. Proboszcz prowadził go na górę, a tam już czekali związkowi konspiratorzy.

- Do naszego dorobku w stanie wojennym należą też Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej - dodaje z pewną dumą Andrzej Tomczyk. - Namysłów był pierwszym miastem powiatowym w Polsce, gdzie takie spotkania - z udziałem tuzów kultury polskiej - odbywały się już od 1985 roku.

Lucyna Kusyk w czasach pierwszej „Solidarności” nie była jej działaczką, tylko eta-

**W WIĘZIENIU ESBECY PRÓBOWALI SZCZUĆ JEDNYCH ZATRZYMANYCH NA DRUGICH, MÓWIĄC ŻE IKSIŃSKA CZY IGREKOWSKA DONOSI**



Andrzeja Tomczyka z Namysłowa właśnie stan wojenny uczynił prawdziwym działaczem „Solidarności”.

FOT. ARCHIWUM



W nocy z 12 na 13 grudnia milicjanci kłamstwem wywabili z domu Bożenę Paliwodę-Olszewską. Za kraty zaprowadziła ją działalność w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów.



- Kiedy esbecy próbowali na mnie naciskać, ujawniał się mój twardy charakter - mówi Lucyna Kusyk. - Ale pobyt w Gołdapi to nie była sielanka.

towym pracownikiem Zarządu Regionu. Noc stanu wojennego zastała ją w podróży. Była przekonana, że to jej mąż, Edward Żuraw, zostanie internowany.

#### Lojalci nie podpisali

- Kiedy przyjechałam do domu, okazało się, że owszem smutni byli, ale nie po niego, tylko po mnie - opowiada. - Zostawili wezwanie na milicję. Zastanawiałam się, co robić. Nie mieliśmy wyobrażenia, co stanie się z tymi, których zatrzymano. Może po 48 godzinach wypuszczą? Z kimś rozmawiałam, może nawet ze Stanisławem Jałowickim, który się ukrywał. W każdym razie poradzono mi, żebym na tę milicję poszła, bo bez końca skutecznie się ukrywać nie sposób. W poniedziałek z siateczką z bielizną i przyborami na 48 godzin, w pożyczonym od siostry płaszczu - nie miała go

przez całą zimę - zgłosiłam się w Komendzie Wojewódzkiej.

Lojalci nie podpisali. Nawet nie dlatego, że była taką świadomą bojowniczką. Zwyczajnie nie spodobał się jej zwrot: Zaprzestaną działalności wymierzonej przeciwko państwu.

- Przecież ja takiej działalności nie prowadziłam - mówi. - Odezwiała się we mnie rogata dusza. Jak zawsze, gdy mnie chciałam napisać po swojemu. Nie pozwolili. To panią zamknęli, mówią. Jestem przygotowana, odpowiadam. Decyzję o internowaniu dostałam do ręki do kilku dniach, z datą 12 grudnia. Zrozumiałam, że pewnie nie puszczono by mnie, nawet gdybym lojalną dwa dni później podpisała.

Pani Lucyna przeszła przez tę samą 13-osobową, lodową celę na Sądowej, w której siedziała Bożena Olszewska.

- Na początku stycznia 1982 zawieźli te z nas, które w niej zostały, do Wrocławia. Na drogę dostałyśmy bochenek chleba w całości, trochę suchej zbożowej kawy i odrobinę cukru. Stamtąd trafiłyśmy do Gołdapi - wspomina. - Już we Wrocławiu dotknęłyśmy innego świata. Dziewczyny nie siedziały w zamkniętych celach. Mogły się odwiedzać i były bardzo bojowo nastawione.

Do Gołdapi jechały dwoma autokarami z napisami „Wycieczka”, eskortowanymi przez milicyjne suki. Zakwaterowano je w dwupiętrowym ośrodku Radiokomitetu. W porównaniu z aresztem był tu luksus: pościel, normalne, a nie blaszane naczynia i pokoje kilkuosobowe, bez krat. Ale euforia trwała chwilę. Wychodzić można było tylko na taras. Parę osób miało prawo „do spaceru po miękkim podłożu”.

- Byłyśmy zamknięte. Pobyt nie był fajny, choć miał

fajne momenty. Było nas ponad 230 osób - opowiada pani Lucyna. - Prowadziłyśmy dla siebie nawzajem kursy językowe i zajęcia z różnych dziedzin wiedzy. Szkoliłyśmy się też z tego, co mówić i czego nie mówić. Już się nie bałyśmy gadania esbeków, że posiedzimy aż nam włosy wypadną. Propaganda próbowała wmówić mieszkańcom miejscowości, że przetrzymuje z przeproszeniem jakieś kur... Ale miejscowy ksiądz pracował nad nimi i na Wielkanoc przyniósł nam pisanki i inne dary

#### DO GOŁDAPI PANIE JECHAŁY DWOMA AUTOKARAMI Z NAPIŚMI „WYCIECZKA”, ESKORTOWANYMI PRZEZ MILICYJNE SUKI

przez nich przygotowane. Odprawiał na bilardowym stole msze i prznosił grypsy, bo jego nie kontrolowano.

- Ale to nie była sielanka - dodaje. - Ja byłam w tej luksusowej sytuacji, że nie mieliśmy z mężem dzieci. Nie można mnie było straszyć, że trafią do domu dziecka. To była dla dziewczyn potężna presja. Część z nich szła dobrowolnie pracować do kuchni, żeby odpuścić złe myśli.

Szybko okazało się, że władze traktują Gołdap jako swoisty obóz wzorcowy i zwożą telewizje z różnych stron świata i wizytatorów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

- Kiedy przyjechała polska telewizja, po prostu nie wyszłyśmy - wspomina Lucyna Kusyk. - Na spotkanie z Czerwonym Krzyżem kazano iść wszystkim. Bardzo nam zależało, by naruszyć ten obraz, który forsowały władze: opo-

zycjonistki są tu na wczasach. Same ostrzygłyśmy się prawie na zero.

Na wolność pani Lucyna wyszła w ostatnich dniach kwietnia. Ośrodek całkiem opustoszał 22 lipca.

- Na powrót przyszyłyśmy sobie do ubrań plakietki, że byłyśmy internowane od do - opowiada pani Lucyna. - To powodowało u podróżnych w pociągu raczej dystans niż sympatię.

Bohaterów tych trzech różnych solidarnościowych opowieści łączy wspólne przeświadczenie: warto było. Komuna nie upadła sama. Ten mur musiał ktoś przewrócić. Mają świadomość i - starannie skrywaną - satysfakcję, że mają w tym swój udział. Po latach już im nie doskwiera, że nawet wtedy nie wszyscy rozumieli ich zaangażowanie.

**Niniejszy tekst ukazał się (w nieco szerszej wersji) w ntó w grudniu 2015 roku.**

FOT. ARCHIWUM

FOT. ARCHIWUM

# MILICJANT NOGĄ PCHNAŁ MI MISKĘ ZUPY

BOLESŁAW BEZEG

**O nielegalnej działalności w stanie wojennym i pobycie w więzieniu opowiada dawny działacz NSZZ „Solidarność” Marek Szwed.**

**- Panie Marku, jak Pan pamięta tamten dzień 13 grudnia 1981 r., czy przyszli po Pana?**

- Nie, nie przyszli, ponieważ ja byłem uznawany za stosunkowo niegroźnego, nie pełniłem żadnej kluczowej funkcji. Z upływem dni, z kolejnymi informacjami, no niestety, pojawiła się złość i takie oburzenie, że mając totalną władzę, totalną siłę, strzela się, morduje się robotników, zniewala się ich. Wtedy uznałem, że coś trzeba z tym zrobić. No i nadarzyła się okazja, zaproponowano mi takie spotkanie, w którym nasza grupa się zorganizowała. Jej celem przede wszystkim było pomaganie osobom w potrzebie, bo były takie, plus drukowanie ulotek, jednokartkowych, wielokartkowych, zależy, jakie były materiały. Wiadomo, że to było kompletnie niedostępne, musiało być wykradane, kombinowane.

**- Kto należał do tej grupy? Kto był liderem?**

- Generalnie jak ja kojarzę to Jan Całka, ponieważ zależało nam tym, żeby za dużo nie wiedzieć, nie zadawałem za dużo pytań. Interesowało mnie to, co ja mam do zrobienia i w tym zakresie, bo im mniej wiem, tym lepiej. W tym czasie ukrywał się szef naszej zakładowej struktury „Solidarności” Piotr Skrobotowicz, więc pomagaliśmy mu też w pewnym stopniu. Miałem okazję się z nim spotkać. W grupie były osoby znane z procesu, w którym nas później ukarano, ale były też osoby, do których nie dotarto na całe szczęście, czyli tacy nazwałbym ich dalsi współpracownicy. Przekazując ulotki, wiedziałem, że następna osoba prześle następny, taka struktura piramidy w dół...

**- Ile osób działało w tej strukturze?**

- Chyba nas było 18 na rozprawie, więc ta podstawowa struktura to łącznie 18 osób.

**- Plus trudna do zidentyfikowania liczba ludzi, którzy byli odbiorcami...**

- Od nas odbierali materiały ci, co decydowali się wziąć większą liczbę ulotek, a potem rozprowadzali je do ostatecznych odbiorców.



- Dostałem w zawieszeniu trzy lata - wspomina Marek Szwed. - Na wolność wyszedłem 23 grudnia. W więzieniu zostali Jan Całka i jeszcze jeden z kolegów.

Myślę, że to należałoby mnożyć w setki czy w tysiące.

**- Powiedział pan, że to wy sami produkowaliście wszystkie te kolportowane materiały...**

- Z tego co wiem to były u nas systemy powielaczowe, takie prymitywne dosyć, często przenoszone z miejsca na miejsce, bo były obawy, że mogą namierzyć. Ja zresztą miałem takie sytuacje, w których - to dziwne - ale czułem, że ktoś wędruje za mną. Więc wiedziałem, że w tym momencie trzeba na przykład zmienić kurs, jeżeli miałem

odebrać kolejną porcję ulotek. Były też akcje z ulotkami, które miały się rozrzucać. Było to ryzykowne, bo było dużo osób „niemundurowych” i „społeczników” też, niestety.

**- Jak Pan by określił ramy czasowe tej działalności?**

- O ile pamiętam spotkałem się pierwszy raz w grudniu, no a później w okolicach kwietnia coś pękło. No różne są opinie na ten temat, dlaczego się tak stało. Ja nie dochodziłem tego, bo uznałem, że nic mi to nie da. Zostałem

zatrzymany 9 maja 1982 r. w pracy czyli w firmie ZURIT, gdzie naprawiałem sprzęt RTV. Wiedziałem, że zamknęli tego, zamknęli tamtego. Miałem do wyboru pracować i żyć tak dalej albo się ukrywać. Ukrywanie nie wchodziło w rachubę ze względu na żonę i małe dziecko. Któregoś dnia usłyszałem od osoby, która przyjmowała sprzęt do naprawy, że przyszli jacyś panowie, no to już wiedziałem, że po mnie. No ale udało mi się dziwnym sposobem zrobić tak, żeby się spotkać z żoną, bo później by nie było żadnej

możliwości. Oni mówią, że jedziemy do domu, a ja mówię, że nie mam klucza od mieszkania, bo ja zawsze idę do żony i razem wracamy do domu, więc proszę mnie zawieźć do Instytutu Śląskiego, tam żona pracuje. Dzięki temu mogłem się jeszcze zobaczyć z małżonką.

**- 9 maja w PRL obchodzono Dzień Zwycięstwa, wielkie święto komunizmu, a pan trafił do... Właściwie dokąd pana zabrali?**

- Komenda Wojewódzka. Byłem w o tyle trudniejszej sytuacji, że część z moich kolegów była na ul. Sądowej, mnie tam nie mogli zamknąć, bo tam pracował mój brat. No więc tak się los poukładał, że siedziałem chyba najdłużej na Komendzie Wojewódzkiej, bo to było powyżej półtora miesiąca, gdzieś pod koniec czerwca przenieśli mnie do Strzelca, do więzienia.

**- Osoby, które przebywały w tym tak zwanym dołku Komendy Wojewódzkiej opowiadają, że to było paskudne miejsce, chyba najgorsze z tych w których przebywali. Czy pan też ma takie wspomnienia?**

- Zdecydowanie tak. Marny dostęp do powietrza, w oknach tak zwane blendy, które często były wpasowane jeden do jednego w otwór okienny i powodowały, że jedyną wentylacją był otwór nad drzwiami, zasiatkowany, wielkości 20 x 20 cm. No a zderzenie się z toaletą to już był szok, to był taki duży gar 80 cm wysokości z pokrywą. A to, że dechy i że materac jakiś obrzydliwy, no to jeszcze pół biedy. Brak powietrza, brak wentylacji, permanentnie półmrok no i większość milicjantów nieszczególna. Jeden był tylko, który nas zaskoczył, któregoś dnia otworzył drzwi, bo przyszło jedzenie, zresztą na podłodze kładzione, to też znamienne, i on tak popatrzył na mnie i mówi: „Co ty możesz i co my możemy”. I ja tam myślę „uuu odważny się trafił”. Różne sytuacje były, zastraszania, na tzw. łomot ja się nie załapałem, nie wiem jak inni kole-dzy. Niektórzy mieli niestety tą średnią przyjemność. Jednym z takich wspomnień jest otwarcie drzwi i milicjant przesuający nogą miskę z zupą, jak zobaczył mój wzrok wycofał się, bo chyba wyglądało na to, że skoczę mu do gardła. Byłem zdziwiony, że nie dostałem lania.

**- O co pytali przesłuchujący, czy dobrze znali waszą strukturę?**

- Na pewno mieli informacje z wnętrza naszej grupy. W stu procentach wiem, że ktoś im przekazywał, w każdym razie przypuszczam, że to były co najmniej dwie osoby. Więc oni wyłapywali sobie po jednym i rozpracowywali na tej zasadzie, że ktoś powiedział to, drugi to i tak dalej rozgrywali sytuację. No wiadomo, typowe działania operacyjne.

**- Jak wyglądał proces?**

- Sędzia w moim odczuciu był przyzwoitym człowiekiem, bo nie było z jego strony napastliwości czy agresji. Pierwszy wyjazd był dla mnie szokiem, bo dostaliśmy informację, że wyjdziemy na sprawę, wchodzę, w przed-sionku milicja z psami. Wchodzimy do suki, jeden z naszych, milicjant i taki przekładaniec. Trzy wozy z więźniami, ileś asekuracyjnych na sygnałach, jeszcze przy wyjściu samego budynku do bramy wyjściowej był szpaler milicji, później na ul. Katowickiej w kinie „Kosmos” był szpaler milicjantów, jeden przy drugim. Proces trwał do sierpnia albo trochę dłużej, w tym czasie byłem w Strzelcach Opolskich, w więzieniu. Dopiero po zamknięciu sprawy była zgoda, że mogę wyładować na Sądowej w Opolu. Było to mniej więcej jakbym się przeniósł z lepianki do jakiegoś hoteliku. Zmiana łóżek, zmiana jedzenia. Jedzenie w Strzelcach było okropne. Pomyślałem, że 4-5 lat tego jedzenia to wątroba i nerki będą do wyrzucenia. Podstawą żywienia w Strzelcach były sól i dużo ostrych przypraw, a mało treści. Na wiadro wody dawano dwie marchewki, cztery ziemniaki na drugie danie to najczęściej groch z czymś, myśmy nazywali to beton. A z betonem to było tak że się jadło jednego dnia, a później na drugi dzień z tego była grochówka. Dostęp do warzyw, do mięsa, to był kosztmar po prostu. W Opolu było zdecydowanie lepiej, wyładowałem tu - myślę - pod koniec sierpnia, ale sprawa była przeciągana, ponieważ naszym obrońcom chodziło o doczekanie do zawieszenia stanu wojennego, dzięki czemu mogły zapaść łagodniejsze wyroki. Myślę, że jak na tamte możliwości to sędzia nie zaszalał z wyrokami. Większości z zaliczono na poczet kary areszt, a resztę dostaliśmy w zawieszeniu. Ja dostałem w zawieszeniu 3 lata. Wyszedłem 23 grudnia, w więzieniu zostali Jan Całka i jeszcze jeden z kolegów.

KRZYSZTOF OGIOLDA

**Andrzej Labocha, członek z wyboru MKZ-u Kędzierzyn-Koźle i sekretarz, pracownik funkcyjny "S" wspomina działalność w "Solidarności" i okres internowania.**

Pytany, jak się dla niego zaczął stan wojenny, pan Andrzej wraca do dwunastego, nie do trzynastego grudnia.

W tę sobotę jechałem do Opola do Regionu na jakieś spotkanie i w drodze do pociągu spotkałem "kolegę" - opowiada. - To był esbek, który z moim bratem chodził do jednej klasy. Zналиśmy się i każdy z nas wiedział, kto jest kim. Zaczął mi coś opowiadać, że chciałby się spotkać w związku z mieszkaniem. Umówiliśmy się na pół do piątej. Dotrzymał mu towarzystwa mój inny kolega ze szkolnej ławy, który okazał się szefem esbeków na terenie powiatu kędzierzyńsko-kozielskiego. Oni chcieli mnie skaperować i w przeddzień stanu wojennego zmusić mnie szantażem do współpracy. Później się zorientowałem, że już wiedzieli, co się zdarzy w niedzielę. Gadali coś o czołgach. Twardo odmówiłem. Powiedziałem im wprost, że jeśli uważają, że złamałem prawo, to powinni iść do sądu.

#### Przysli w nocy...

Kolejny raz pan Andrzej drugiego z mężczyzn spotkał (miał na imię Jan) bardzo szybko. O pół do drugiej w nocy zadudnił do drzwi, towarzyszył mu inny mężczyzna uzbrojony w kałacha.

- Żona akurat wstała, kiedy Jasiek wsadzał nogę między drzwi i framugę naszego mieszkania - mówi Andrzej Labocha. - Oficjalnie zabierano mnie dlatego, iż rzekomo było włamanie do MKZ-u. I trzeba było zweryfikować, co zostało zniszczone. Jeden z kolegów, Stanisław Boguszewski jakieś dwa albo trzy tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego zmienił mieszkanie - na większe w tym samym bloku. Milicja przyszła na stary adres, ale ten, kto mieszkał na jego miejscu, wiedział, gdzie się poprzednik przeprowadził i tam funkcjonariuszy wysłał. Pewnie był w szoku na widok milicjantów w nocy.

- Jak nas zwieźli na policję w Kędzierzynie było nas kilkunastu, może nawet kilkudziesięciu. W tej liczbie mój szef, Tosiek Szota, który był przewodniczącym i Janusz Rudnicki - opowiada dalej pan Andrzej. - Zamknęli nas w takiej większej celi. W niedzielę o 6.00 mogliśmy usłyszeć przemówienie Jaruzela ogłaszającego wprowadzenie stanu wojennego. Już nie pamiętam, czy je nam puścili przez głośniki, czy usłyszeliśmy generała z odbiorników radiowych milicyjnych suk stojących

# PRZEMÓWIENIE JARUZELA USŁYSZELIŚMY JUŻ O 6.00 RANO



Andrzej Labocha przechowuje dwa pamiątkowe medale. Jeden upamiętnia rocznicę stanu wojennego, drugi 25-lecie „Solidarności”.

na wewnętrznym dziedzińcu. Trochę zgłupiałem. To, że władze chcą nas postawić do pionu, spodziewaliśmy się już od dłuższego czasu. Bo trochę zadym było. Jedne był bardziej słuszne, inne mniej, a niektóre całkiem niepotrzebne. Ale stan wojenny był zaskoczeniem.

Pan Labocha pamięta, że większość zatrzymanych działaczy transportowano w tzw. budach. On sam, razem ze Stanisławem Boguszewskim, zostali spakowani do suki milicyjnej.

#### Czołgi jechały na „Azoty”

- Widzieliśmy z drogi zarówno ludzi idących do kościoła, jak i jadące przez jedną z wiosek, prawdopodobnie na „Azoty”, czołgi - opowiada. - Zawieziono nas na ul. Sądową do Opola i wpakowano do piwnicy. Wyładowałem z siedmioma kolegami. Byli ze mną panowie Rusinek i Ogrodnik z Opola, Pucek z Prudnika, Boski, Boguszewski i jeszcze jedna osoba. Zamknięto nas, przy okazji zabierając wszystko oprócz ubrania. Nawet zegarki. Do dziś nie wiem, dlaczego. Oddano nam je dopiero po dwóch tygodniach.

- Jeszcze w Opolu byłem przez jakiś czas w celi z panami

Bardonem i Bereszyńskim. Ostatecznie wywieziono nas wszystkich do Nysy - wspomina. - Jak dziś patrzę na nasze internowanie? Wspomnienia mają to do siebie, że te gorsze blakną, a w pamięci zostają te lepsze. Oczywiście, byłem wkurzony na to, że siedzę. Przecież mógłbym i wolałbym być w domu i chodzić do pracy. Ale władze były tak przerażone, że trzymały nas pod kluczem. Dziś myślę sobie, że to był typowo izolacyjny areszt. Kiedyś - już nie pamiętam o co konkretnie poszło - tłukłszy stołkami w drzwi, rumor był niesamowity, wjechała ekipa w kaskach i z długimi pałami. Robili gruntowną rewizję, ale nie bili. (Chodziło o reakcję internowanych na wywózkę Zbigniewa Szatyńskiego z ośrodka odosobnienia w Nysie do Kamiennej Góry - przyp. red.)

**Z MILICYJNEJ SUKI -  
WIDZIELIŚMY ZARÓW-  
NO LUDZI IDĄCYCH  
DO KOŚCIOŁA, JAK  
I JADĄCE PRAWDOPO-  
DOBNIENIE NA „AZOTY”  
CZOŁGI**

Pan Labocha wspomina także wizytę w Nysie Juliana Urantówki, komendanta wojewódzkiego MO w Opolu.

- Pierwsi mieli z nim spotkanie w świetlicy wrocławskiej. - Ono odpowiednio zmontowane poszło potem w telewizji - opowiada. - My już wiedzieliśmy, na co się zanoszą, więc poszliśmy prosto do cel. On przeszedł się po tych celach i zadawał - po mojemu - głupie pytania, czy mamy do niego jakieś uwagi czy oczekiwania. Zapytałem go, dlaczego zamyka się w Polsce ludzi za gdybanie. Bo w akcie internowania było sformułowanie „Gdyby obywatel” to i to chciał zrobić. Nie chciał na ten temat rozmawiać. W większości cel go ignorowano, chociaż był wystrojony i wymuskany. Nawet kordzik sobie przypiął przy boku. Niby chciał pokazać, jak nas szanuje.

Wiedzę o świecie internowani czerpali m.in. z radia. Właśnie z tego źródła dowiedzieli się o głośnej wtedy ucieczce samolotem do Austrii (uciekiniernami byli trzej chorążowie 13 Pułku Lotnictwa Transportowego, którzy samolotem AN-2 zbiegli z Krakowa do Wiednia - przyp. red.). Ponadto doszło do niej 1 kwietnia, początkowo

- jak wielu ludzi w Polsce - sądzili, że to żart prima aprilisowy.

#### Gdzie ukryto radio

- Radio stało na stole - relacjonuje po latach Andrzej Labocha - ale klawisze go nie widzieli. W dużej puszcze po kakao przechowywaliśmy cukier. Radio było ukryte w tym cukrze, w nylonowym woreczku. W innej celi radio znaleźli i to całkiem spore, marki „Major”. Też takie miałem. Po stanie wojennym chodziłem tu na ulicę słuchać o pół do dziesiątej BBC po polsku. To radio świetnie odbierało. Z kasyna wracał pewnego dnia jakiś pijany „trep” i zaczął się mnie pić. Powiedziałem mu, że ja się nie wtrącam, jak on słucha audycji z Moskwy. Chciał się bić, ale bardziej niż on trzeźwi koledzy go odciągnęli. Zresztą znalazłem później w mojej teczce donosiela, który skarżył na mnie, że ostentacyjnie słucham Głosu Ameryki oraz BBC.

Pan Andrzej siedziałem do 30 kwietnia, więc wypuścili go akurat na pierwszego maja 1982 roku. - Dzieci były małe, a mnie długo nie było. Więc namawiały mnie bardzo, żebym szedł z nimi na pochód wspomina. - Podeszedłem przy okazji

do byłego dyrektora rozmawiać o powrocie do pracy. Zapytał, czy idę razem z Kofamą (Koziełską Fabryką Maszyn) na pochód. Zgodnie z prawdą odparłem, że pójde z stoczniami, bo mam tam więcej znajomych. Odkuł się w ten sposób, że skoro wróciłem do pracy 4 maja, to za pierwsze trzy dni mi nie zapłacił. Ale ostatecznie nie straciłem na tym. Wypłacono mi te pieniądze ze związkowego konta. Zresztą w pewnym momencie w tej firmie dla ludzi po studiach, jak ja, nie było dobre płatnej pracy. Kolega, który był brygadzystą, najpierw zarabiał tyle samo, co ja, o w pewnym momencie dwa razy więcej.

Andrzeja Labochę, jak wielu internowanych, dotknęło także bezrobocie.

- Najgorsze było to - przyznaje - że człowiek już uzgodnił pracę w nowym miejscu. Kazano mu przyjść od razu, od jutra. Ale jak się jutro pojawiało, to się okazywało, że wcale tej pracy nie ma. O przyczynach niektórzy kłamali umiejętnie, większość nieumiejętnie. Rzeczywistym powodem były telefony wiadomo skąd z groźbami typu: Spróbujcie go przyjmując, to zobaczycie. Wreszcie udało mi się dzięki znajomości dostać pracę w polonijnej firmie w porcie. Dopiero później słyszałem, że ten, kto mi to załatwił, miał spore nieprzyjemności.

**Zdjęcie z Anną Walentynowicz** Ciekawą pamiątką po związkowej działalności Andrzeja Labochy jest zdjęcie, które można oglądać w zasobach Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Śląska Opolskiego oraz w jednym z tomów monumentalnego opracowania Zbigniewa Bereszyńskiego „Rewolucja Solidarności w województwie opolskim 1980 - 1990”.

- Ono zostało zrobione w hotelu w „Azotach”, gdzie w kwietniu 1981 roku mieliśmy swoje wewnętrzne wybory - opowiada pan Andrzej. - Są na nim panowie Szota i Maślona oraz ja, a po prawej stronie siedzi pani Anna Walentynowicz, która nas wtedy odwiedziła i dzieliła się z nami doświadczeniami z Wybrzeża.

- Zawsze miałem takie zdanie i mam je do dziś - podkreśla pan Labocha. - Że warto było zaangażować się w związkową działalność, a nawet dać się na kilka miesięcy zamknąć. Te cztery i pół miesiąca to jest przecież stosunkowo niewielki koszt w porównaniu do tych 9 górników, którzy zginęli zastrzeleni na kopalni „Wujek” w Katowicach czy trzech osób zabitych w Lubinie podczas manifestacji 31 sierpnia 1982 roku czy mnóstwa innych ludzi, którzy zginęli w tajemniczych okolicznościach, a także księdza Popiełuszki itd. Mam to poczucie, że nie stałem z boku.



Wprowadzenie stanu wojennego zwiastowały już tydzień wcześniej brutalne działania milicji na ulicach Opola. Akcja MO przeciwko studentom plakatującym miasto, róg ulic Krakowskiej i Kościuszki, 5 grudnia 1981 r.



Okres stanu wojennego to także czas przysyłanej z Zachodu pomocy. Nz. rozładunek transportu do opolskiej katedry.

# TRUDNY CZAS NA CZARNO-BIAŁYCH ZDJĘCIACH UTRWALONY

Stan wojenny niósł różne doświadczenia i obrazy. Niektóre z nich prezentujemy, aby nie zostały zapomniane.



Członkowie „Solidarności” w krapkowickim „Otmęcie” z egzemplarzami Tygodnika „Solidarność”.



Jedną z dokuczliwości stanu wojennego były nieustanne kontrole drogowe. Wróg mógł się kryć w każdym maluchu.



Taki napis „Solidarność” pojawił się na brzeskiej ulicy Rosenbergów przed pierwszym maja 1982 roku.



Msze św. w intencji ojczyzny przyciągały do katedry opolskiej tłumy wiernych.



Bp Antoni Adamiuk był duchowym opiekunem „S”. Na zdjęciu w Zdieszowicach we wrześniu 1981.